

- Trzy miesiące? - Harriet z niedowierzaniem podniosła głos.
- Co najmniej - potwierdził lekarz.
- Ale ja w żadnym wypadku nie mogę zostawić firmy tak długo na łasce losu!
- Więc proszę znaleźć zastępcę.
- „Harriet Designs” ma tylko jednego szefa - mnie.
- Więc proszę się rozdzielić, na miłość boską. - Po chwili dodał nieco spokojniej: - Musi pani zupełnie zapomnieć o pracy, panno Hilliard. Jest pani chorobliwie szczupła, żeby nie powiedzieć: wycieńczona. Chce pani usłyszeć moją diagnozę? Przepracowanie, stres, depresja. Odpoczynek jak najdalej od sklepu - oto czego pani trzeba.
- Ale ja uwielbiam moją pracę!
- I, jak się wydaje, nic poza nią, a przecież świat ma tak wiele do zaoferowania. Nie można żyć tylko pracą. Ja mogę, pomyślała buntowniczo. Żyła tylko firmą; zawsze tak było. Piers Cayzer, jej cichy wspólnik, zwykł mawiać, że pochłania firmę, tak jak inne kobiety pochłaniają czekoladki, tyle że nigdy nie tyje. Ostatnio nawet chudła, i to w zastraszającym tempie - ubyło jej aż siedem kilo. Nie jestem chora, zachnęła się w myśli. Ja nigdy nie choruję. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek zmieniła plany ze względu na złe samopoczucie. Piers twierdzi, że mam końskie zdrowie. „Jak najlepsza rasowa klacz pełnej krwi” - dodaje z dumnym uśmiechem.
- Chyba znajdzie pani kogoś na trzy miesiące? - Lekarz nie dawał za wygraną. - A pan Cayzer?
- To mój cichy wspólnik - mruknęła lekceważąco. - Pomógł mi finansowo, gdy zaczynałam, ale nie ma zielonego pojęcia o projektowaniu wnętrz. To ja kieruję „Harriet Designs”. Więcej, ja jestem „Harriet Designs”.
- Ale przecież ma pani pracowników, asystentkę... No tak, była panna Judd - jej prawa (i lewa) ręka, ale tylko w sprawach administracyjnych. Evelyn, sekretarka, choć dużo młodsza, równie dobrze radziła sobie z klientami i z dostawcami. Na obu można było polegać i robiła to od dawna, ale o wewnątrzarstwie żadna nie miała pojęcia.
- Nie, nie ma nikogo, kto byłby w stanie mnie zastąpić.
- Więc proszę kogoś zatrudnić. To bardzo pilne, panno Hilliard. Albo pani porządnie wypocznie, albo...
- Co?
- Załamanie nerwowe. Ludzki organizm ma określoną wytrzymałość, a pani nie dawała sobie chwili wytchnienia. Fakt, że pani zemdląca, to sygnał ostrzegawczy.
- Kosztowało mnie to dwa krzesła, autentyczne ludwiki - skomentowała ponuro. - Akurat miałam podbić cenę.
- Czy krzesła są dla pani ważniejsze niż zdrowie? - odciął się lekarz. - Musi pani o wszystkim zapomnieć. Zalecam rejs, najlepiej w tropiki, gdzie codziennie będzie się pani wygrzewała w słońcu. Oczywiście z umiarem i stosując odpowiednie filtry przeciwsłoneczne. Jeśli mnie pani nie posłucha, wkrótce znajdzie się pani w szpitalu, przykuta do łóżka.
- To niemożliwe! - Harriet poczuła ukłucie strachu.
- Niestety, jak najbardziej możliwe. Ma pani nerwy napięte jak postronki. Pracoholizm jest gorszy niż chroniczne lenistwo. Istnieje coś takiego jak złoty środek i szczerze pani radzę znaleźć go jak najszybciej.
- Ale trzy miesiące! - jęknęła.
- Co najmniej.
- Nie mogłabym tylko ograniczyć pracy? Do, powiedzmy, pięciu godzin dziennie? W ten sposób miałabym na wszystko oko i jednocześnie wypoczywała...
- Lekarz posłał jej takie spojrzenie, że nie dokończyła zdania.
- Mówiła to pani w zeszłym roku, gdy uskarżała się pani na bezsenność. Już wtedy sugerowałem ograniczyć pracę. I co, posłuchała mnie pani?
- Harriet niespokojnie poruszyła się na krześle.
- Pani obecny stan to ciąg dalszy tamtych kłopotów. Gdyby mnie pani wówczas posłuchała, nie musiałbym teraz być taki surowy, ale pani puściła moje słowa mimo uszu. Dopóki praca będzie w zasięgu ręki, pograży się w niej pani po uszy; wiemy o tym oboje. I dlatego chcę, żeby wyjechała pani jak najdalej.
- Ale ja jestem w samym środku bardzo ważnego zlecenia! Projekty są już gotowe, ale muszę poczekać i dopilnować, żeby wykonawcy zrobili wszystko jak należy.
- Wykluczone.
- Więc proszę mi powiedzieć, gdzie ja u licha znajdę tak szybko odpowiedniego człowieka, który mógłby mnie zastąpić? - zapytała w desperacji. - Tacy ludzie nie rosną na drzewach!

W czasie kolacji Piers całkowicie zbił ją z tropu. Gdy nie przestawała biadać, oznajmił, że zna wręcz idealnego zastępcę dla niej.

- I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie! Jest jakby stworzony dla ciebie. To mój przyjaciel z dawnych lat, ledwo co wrócił z Nowego Jorku. Pracował tam dla „Lewisohn’sa”, a to wielka firma, prawda?

- Równie wielka, jak ich zlecenia - całe sieci hotelowe, pałace arabskich szejków i tak dalej. „Harriet Designs” to płotka w porównaniu z nimi!

- James poradzi sobie w każdych warunkach. Dokładnie rzecz biorąc, już sobie radził. Studiował sztukę w Cambridge, nota bene ukończył studia z doskonałą lokatą, i natychmiast porwał go dom aukcyjny „Sotheby’s”. Pracował u nich chyba z siedem lat, potem przeszedł do Muzeum Wiktorii i Alberta, a stamtąd „Lewisohn’s” zwał go do Stanów. James to odpowiedź na twoje modlitwy, skarbie. Jest doskonały. Zajmie się wszystkim, gwarantuję ci to. - Oczy Harriet o barwie akwamaryny lśniły w pewien szczególny sposób, na widok którego drżało serce Piersa. Znał ten błysk waleczności; pojawiał się zawsze, ilekroć na horyzoncie widniało jakiegokolwiek zagrożenie dla tego, co było najbliższe jej sercu. Zdawał sobie sprawę że już samo pozostawienie firmy na jakiś czas samej sobie nie mieściło się jej w głowie; wizja zostawienia jej na pastwę widzimisię nieznanego była jak najgorszy koszmar. Długo i ciężko pracowała, by osiągnąć to, co osiągnęła, ale też była prawdziwą pracoholiczką. Do dziś kierowała nią szaleńcza ambicja, zawsze chciała mieć jeszcze więcej. Rozumiał ją jednak; też się tak zachowywał, gdy mu na czymś bardzo zależało.

- James ma odpowiednie kwalifikacje. Co więcej, zapewniam cię, że będzie miał zarówno czas, jak i ochotę dla ciebie pracować, gdy tylko mu wyjaśnię, jak się sprawy mają. Nigdy nie odmawia przyjacielowi pomocy w potrzebie, przekonałem się o tym na własnej skórze. Zresztą akurat przyjechał na długi bezpłatny urlop...

- Chcesz powiedzieć, że kierowanie moją małą firmą to dla niego wakacje?

Piers szybko starał się naprawić nieopatrznie strzeloną gafę. Boże, jaka ona jest teraz drażliwa!

- Nie, skądże. Chciałem tylko powiedzieć, że... że James ma zamiar właśnie teraz wrócić do Anglii, to tylko zbieg okoliczności. Jak mówisz, prawie niemożliwe jest znalezienie odpowiedniego zastępcy w tak krótkim czasie. James jest przysłowiowym darowanym koniem, skarbie. Dlaczego z takim uporem chcesz zaglądać mu w zęby? Uwierzyć mi na słowo, James to odpowiedź na twoje modlitwy. Jest doskonały w tym, co robi.

- Ja też nie jestem najgorsza - obruszyła się Harriet.

- Och, oczywiście, że nie, skarbie! Osiągnęłaś bardzo wiele w ciągu zaledwie dziesięciu lat. Ale czy nie przeczuwałem tego od początku, gdy przyszedłaś do mnie z głową pełną szalonych pomysłów i bez grosza przy duszy?

- Zwróciłam ci to, co mi pożyczyłeś, co do pensa, i z godziwymi odsetkami!

- Harriet - w oczach Piersa, które przypominały jej oczy Krzysia z *Kubusia Puchatka*, pojawił się wyrzut. - Wiesz, że to mnie najmniej interesuje.

Zacisnęła zęby. Jej cichy współnik nie był człowiekiem gwałtownym, ale zawsze zachowywał się w ten sposób, gdy rozmawiali o pieniądzech. Znała go wystarczająco długo, by wiedzieć, że naburmuszona mina oznacza zranione uczucia. Wydorosłej w końcu, Piers! - pomyślała ze zniecierpliwieniem. Czasami zachowywał się jak naburmuszone dziecko, do tego stopnia, iż podejrzewała, że ćwiczy tę minę, ilekroć zagląda do lustra. W połączeniu z jego jasnymi włosami, różowymi policzkami i błękitnymi oczami... A przecież ma lat czterdzieści, a nie cztery. Nie zdawała sobie sprawy, że rumieniec na jej policzkach i gromy lecące z jej własnych niebieskich oczu zdradzają irytację, gdy przeprosiła go znużonym głosem:

- Wybacz, Piers. Ostatnio tak szybko tracę nad sobą panowanie...

Natychmiast wykorzystał okazję.

- Bo twój lekarz ma rację: jesteś na krawędzi nerwowego załamania. Nalegam, żebyś go posłuchała i udała się na długi rejs po ciepłym morzu, jak najdalej od lutowego zimna i wilgoci. Wrócisz do mnie na wiosnę, a do tego czasu stary James poprowadzi twoją firmę pewną ręką.

- Kiedy cię słucham, zaczynam podejrzewać, że to anioł w ludzkiej skórze! - rzuciła gniewnie.

- W twojej sytuacji James to rzeczywiście cud! - tym razem nie ukrywał zdenerwowania. Zaraz jednak dotknął jej dłoni w pojedynczym geście. - Polubisz go, jak wszystkie kobiety. Jest bardzo przystojny. I wie, jak uwodzić...

- Do prowadzenia mojej firmy nie wystarczy uroda i urok osobisty!

- Och, nie bój się, nie jest dyletantem, nie popełni błędu! Możesz obejść wszystkie agencje łowców głów, a i tak nie znajdą ci nikogo, kto tak idealnie spełniałby nasze wymagania.

Nasze? - pomyślała, ciągle nie przekonana. Nikt nie był dość dobry, by zastąpić ją w firmie, na którą pracowała tak długo i ciężko. Na myśl, że ma powierzyć swój największy skarb nieznanemu, robiło jej się zimno.

- A może przyprowadzę go jutro na drinka? - zaproponował Piers. - Jesteśmy umówieni na lunch. Powiem mu, o co chodzi, i jeśli pomysł przypadnie mu do gustu, przyprowadzę go do ciebie, żebyście się poznali i zadali sobie te wszystkie pytania, które, jak wiem, już sobie układasz. - Widział jednak, że Harriet nie ma ochoty zaakceptować tego planu. Coraz trudniej jest rozdzielić obie Harriet - tę prawdziwą i „Harriet Designs”... Jeszcze trochę, a staną się jednym. Od początku widział jej ambicję, ale przecież dotarła już na szczyt, prawda? Dlaczego z maniackim uporem podwyższa poprzeczkę? Ukrył jej dłoń, smukłą i drobną jak ona cała, w swojej. - Nie sądzisz, że trochę za bardzo... identyfikujesz się z drugą Harriet? - zapytał najostrożniej jak umiał. - Niepokoi mnie ta twoja... obsesyjna gotowość do pracy. Powinnaś odpocząć po zwycięstwie, a nie szykować się do podboju kolejnych szczytów. Spójrz na siebie: jesteś blada jak trup i chuda jak patyk. Tak nie można, skarbie. Straciłaś cały blask, jesteś nerwowa, nadpobudliwa. Bardzo mnie to martwi. Kochanie, proszę tylko, żebyś się sobie uważnie przyjrzała; zobacz, co się z tobą dzieje.

Poczuła się nieswojo. Wiedziała, że ostatnio nie wygląda najlepiej, wyczuwała, że wszyscy wokół niej starają się

chodzić na paluszkach. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że Piers, który nigdy nie należał do spostrzegawczych, aż tyle zobaczył. Niepotrzebnie tylko robi wokół sprawy tyle zamętu. Irytowało ją to.

- Wyglądasz, jakby zgąsło twoje wewnętrzne światło - utyskiwał. - Nigdy się nie odprężasz. Masz ustaloną reputację, a mimo to walczysz o każdego nowego klienta, nawet gdy twój kalendarz jest wypełniony zamówieniami. Nie wychodzimy nawet w połowie tak często jak kiedyś, bo wciąż tłumaczysz, że nie masz czasu. - Przerwał na chwilę. - Kochamy się rzadziej, bo jesteś wiecznie zmęczona. Martwi mnie, że jesteś taka napięta i... aż się boję to powiedzieć... wyniszczona.

Choć nigdy nie była próżna, Harriet z trudem opanowała impuls, by podbiec do najbliższego lustra. Wyniszczona? W wieku trzydziestu jeden lat? Uniosła dłoń do policzka, jakby spodziewała się poczuć pod palcami zmarszczki i bruzdy, a nie porcelanową gładkość, o którą tak dbała.

Piers właściwie zinterpretował jej ruch. Wyczuł swoją przewagę.

- Jesteś przyciążona - naciskał. - Błagam, kochanie, wyjedź. Odpoczynek i spokój dobrze ci zrobią.

- Nie jestem żołnierzem w szoku, na Boga! - zachnęła się, ale bez poprzedniego uporu.

- A James nie jest twoim wrogiem. Dlaczego u licha tak się wzdragasz przed jakąkolwiek pomocą? Ta twoja cholerna niezależność! Zapamiętaj sobie, że jeżeli nadal będziesz pracowała osiemnaście godzin na dobę, pewnego dnia stracisz wszystko, nie wyłączając mnie!

Nietypowa dla niego stanowczość sprawiła, że Harriet nie zdobyła się na żadną odpowiedź. Słuchała w milczeniu, ze zdumioną miną, Piers zaś ciągnął dalej:

- Masz wyjechać i zostawić wszystkie kłopoty za sobą. Będziesz się wygrzewała na słońcu, zajadała tony smakołyków i... odzyskiwała swoje kuszące kształty. Odpoczywaj i o nic się nie martw, James będzie miał oko na wszystko.

Dość niezwykłego koloru jest to oko - pomyślała, gdy spotkali się po raz pierwszy następnego wieczoru: ciemnoniebieskie tęczęwki byłyby niemal czarne, gdyby nie błysk, jakby ktoś rozjaśnił granat błotem. Był bardzo wysoki; szczupły Piers mierzył metr siedemdziesiąt pięć, James przewyższał go o dobre dziesięć centymetrów.

Od pierwszej chwili intensywnie czuło się jego fizyczność: szerokie ramiona, wspaniale sklepiona klatka piersiowa, wąskie biodra, długie nogi... Gęsta, lśniąca czarna czupryna lekko falowała; włosy miał dłuższe niż konserwatywny Piers, sięgały kołnierzyka nieskazitelnie skrojonej jasnoniebieskiej koszuli, dobranej do granatowej marynarki w jodełkę. W starannie wypolerowanych butach mogłaby poprawić makijaż, tak lśniły. Uwadze Harriet nie uszedł też błysk szafirów w spinkach do mankietów. Dandys! - pomyślała z niesmakiem. Niewiele będzie z niego pożytku. Będzie poświęcał czas i uwagę własnemu wyglądowi, a nie „Harriet Designs”. Nie ufała mężczyznom o urodzie modeli; matka nieraz ją przestrzegała przed takimi przystojniakami. Jeszcze coś rzucało się w oczy: niezależnie od urody i eleganckiego stroju, emanowała z niego charyzma. Tego człowieka nikt nigdy nie nazwie Jimmy.

- A więc to pani jest Harriet Hilliard - powiedział z zaciekawieniem, głosem, który wpędziłby w depresję Richarda Burtona. Granatowe oczy beczelnie mierzyły ją od stóp do głów. - Piers dużo mi o pani opowiadał, w samych superlatywach, ma się rozumieć.

Harriet zmusiła się, by wytrzymać bez ruchu jego taksujący wzrok. Zdawał się przenikać pancierz niezawodnego mundurka od Jeana Muir i kosmetyków Estee Lauder. Jak zwykle, była jak spod igły: popielato blond włosy przycięte przez fryzjera tak, że wystarczyło kilka ruchów szczotką, by ułożyły się same, swobodnie opadały na ramiona, oczy o barwie akwamaryny błyszcząły życiem w bladej twarzy o delikatnej, niemal przezroczystej karnacji. Miała pięknie wykrojone usta, o pełnej, kształtnej dolnej wardze i rozkosznie małej - górnej. Odważnie odwzajemniła jego badawcze spojrzenie i w głębi ducha pogratulowała sobie, że włożyła na to spotkanie ulubiony granatowy kostium: wysoki kołnierzyk ukrywał wystające obojczyki, a długi żakiet maskował chudość. Jednocześnie głęboki kolor podkreślał jej delikatną urodę.

Zaledwie spotkały się ich spojrzenia, przeszył ją dreszcz i uświadomiła sobie, że oto w osobie Jamesa Alexandra stało przed nią Wyzwanie. Przez całe życie uwielbiała stawiać im czoła - i wygrywać. Uśmiechnęła się promiennie.

- Niestety, musi pan liczyć się z tym, że entuzjazm Piersa bywa przesadny.

- Do jakiego stopnia?

Bezczelny. Mistrz świata w słownych pojedynkach. Wdzięk osobisty, elokwencja i zero skrupułów. Nie lubiła go od pierwszej chwili.

- To doprawdy bardzo miło z pana strony, że zechciał mi pan pomóc w kłopotcie - powiedziała z namacalną niemal nieszczerością w głosie.

- A od czegoż są przyjaciele?

Ton, jakim odpowiedział - a zwrócił jej nieszczerłość z nawiązką - upewnił ją w przekonaniu, że szykuje się walka.

- Proszę usiąść - zaproponowała grzecznie. - Jak przypuszczam, Piers powiedział panu, na czym polega problem?

- Och, szanowna pani, Piers powiedział mi wszystko. Ostatnie słowo należało wziąć dosłownie - Piers mu się

wyspowiadał. Harriet najchętniej zazgrzytałaby zębami, ale tylko błysnęła niebieskimi oczami i uśmiechnęła się do obydwu panów, zachwycona własnym opanowaniem.

Przysiadła na ulubionym fotelu. Była to stara berżera z drzewa owocowego, wyściełana matowym jedwabiem w odcieniu dojrzałych truskawek. Siedziała wyprostowana, ze skromnie skrzyżowanymi nogami i rękami na podolku; James rozpiął się na wiktoriańskiej sofie, którą Harriet wynalazła na wiejskiej aukcji i odrestaurowała, tak by pasowała do fotela.

- Widział pan moje projekty? - zainteresowała się.

- Mnóstwo, i wszystkie mnie zachwyciły. Styl Harriet Hilliard jest jedyny w swoim rodzaju.

- Pan mi pochlebia. - Znowu głos wręcz ociekający fałszem.

- Pani mnie również, powierzając mi swoją firmę w ciemno.

- Piers pana zna, a ja mu ufam.

- Piersowi nie sposób nie ufać - zgodził się, ale tonem sugerującym, że ma na myśli coś zupełnie innego niż Harriet. Wydawało się, że w każdym jego zdaniu kryje się jakiś podtekst. - Wtajemniczył mnie we wszystko.

Harriet wiedziała, co miał na myśli. Ilekroć Piers o niej mówił, zazwyczaj stawał się liryczny i romantyczny. Nie przeszkadzało jej, że się nią chwali, ale nie pozwoli, by James Alexander stroił sobie z tego żarty. Instynkt podpowiadał jej, że niełatwo będzie pokonać tego faceta; mury Jerycha nie stanowiłyby dla niego poważnej przeszkody. Nie wiem dlaczego, ale nie ufam ci za grosz, stwierdziła w myśli. Było w nim coś, co kazało jej mieć się na baczności, jednocześnie jednak wiedziała, że nie może mu powiedzieć, by poszedł do diabła, bo instynkt zawodowy podpowiadał, że nie znajdzie tak szybko nikogo lepszego. Nie, nie lepszego, równie doskonałego. Pod urokiem osobistym i beztrząsą, która doprowadzała ją do szału - nie, raczej nonszalancją, to jest właściwe słowo - wyczuwała wiedzę i doświadczenie, których tak potrzebowała.

- Zdaję sobie sprawę, jak trudno przychodzi pani powierzyć firmę obcym ręką - stwierdził ze współczuciem. - Wiem od Piersa, że przez całe te dziesięć lat, gdy walczyła pani o pozycję na rynku, nie rozstawała się z nią pani na dłużej niż tydzień.

- I teraz też bym się nie zdecydowała, gdyby nie zmusiły mnie do tego okoliczności - odparła, posyłając przy tym mordercze spojrzenie kochankowi, który stwierdził radośnie:

- Harriet robi się słabo na samą myśl o porzuceniu firmy. Jest demonem pracy. Tylko to jej w głowie.

James Alexander uniósł czarne brwi.

- Nie wierzę - mruknął ironicznie.

I znowu aluzja sprawiła, że Harriet krew zawrzała w żyłach. Zignorowała jednak zaczepkę i posłała mu lodowate spojrzenie.

- Czy ma pan do mnie jakieś pytania?

- Całą masę.

- Więc czekam.

Musiała przyznać, że znał się na rzeczy. Nie padło ani jedno pytanie, którego sama by nie zadała. Widać było, że wie już dość dobrze, jak funkcjonuje firma - Piers nie zapomniał postawić najmniejszej kropeczki nad i - tym niemniej Harriet powtórzyła wszystko: aktualne zlecenia i daty ich ukończenia, zamówione tkaniny, najpewniejsi dostawcy, najbardziej zaufani rzemieślnicy, obiecane dostawy, nowe projekty. Ustalili, że James będzie przychodził do sklepu i pracował z nią ramię w ramię aż do dnia jej wyjazdu, który, jak zakładał Piers, nastąpi w ciągu najbliższych dziesięciu dni. To mu pozwoli, jak ujął to James, „zorientować się, o co w tym wszystkim chodzi”, co jak zwykle powiedział takim tonem, że dla Harriet było zupełnie jasne, co miał na myśli. Ze też ze wszystkich możliwych ludzi Piers zaprzyjaźnił się z takim kobieciarzem! I nagle wpadła na genialny pomysł.

- Zależy mi, żebyś poświęcił szczególną uwagę jednemu zleceniu... mojej specjalnej klientce. Nazywa się Harcourt-Smith. Kupiła penthouse przy Eton Square. Przygotowałam wstępny projekt, którym, jak mówi, Jest zachwycona, ale i tak co chwila usiłuje przemycić własne pomysły, które niestety zepsują cały efekt. Ma bardzo dużo pieniędzy i fatalny gust; lubuje się w dekoracjach a la amerykański musical. Poderwała pierwszego milionera w swoim życiu jako chórzystka w „My Fair Lady” i do dziś darzy wielkim sentymentem szyfony w pastelowych kolorach. Gdyby słuchać jej sugestii, ten penthouse byłby skrzyżowaniem dekoracji do „Bulwaru Zachodzącego Słońca” i nowoorleańskiego burdelu. Byłabym ci niezmiernie wdzięczna, gdybyś spróbował pohamować jej zapędy, jednocześnie sprawiając wrażenie, że bierzesz pod uwagę jej sugestie. Będzie usiłowała przemycić ile się da, a zna wszystkie sztuczki... - Jak ty, mówiło jej spojrzenie. - Prace ruszają w przyszłym tygodniu, więc gdybyś mógł zająć się nią szczególnie troskliwie...

- To będzie moje oczko w głowie.

A ty będziesz jej, dokończyła Harriet bez słów. Sadie Harcourt-Smith to istna pozeraczka męskich serc. Trzej mężowie na koncie, każdy bogatszy niż poprzednik, i drapieżność rekina.

- Kiedy wrócisz, będzie mi jadła z ręki - zapewnił James.

O ile jeszcze będziesz ją miał, pomyślała złośliwie.

- I co, nie mówiłem? - dopominał się Piers. - Czy nie odpowiada twoim wymaganiom w każdym calu?

- Martwią mnie raczej jego wymagania, Piers. Wiesz, ile mnie to będzie kosztowało? Nie padło ani jedno słowo na ten temat. Najwyraźniej przywykł do wysokich zarobków, a nie widzę powodu, dla którego miałabym wykorzystywać rezerwy firmy...

- Wszystko załatwione - przerwał jej Piers rzeczowym tonem, którego używał, ilekroć mówił o pieniądzu. - Nie zwracaj tym sobie swojej ślicznej główki. Nie, nie powiem ci, jak to rozwiązaliśmy. Jestem co prawda tylko cichym współnikiem, ale jednak współnikiem, i ja się tym zajmę, a nie „Harriet Designs”. Zapominasz, że James to stary przyjaciel; traktuje to jako przysługę dla mnie. Tak więc to mój problem, jak mu się zrewanżować. To ci musi wystarczyć.

Innymi słowy, nie chcesz mi nic więcej powiedzieć, pomyślała. Wzruszyła jaj jednak jego troska i kamień spadł z serca na myśl, że nie będzie musiała zapłacić ani grosza. Nie wątpiła, że James Alexander bardzo drogo sprzedaje swoje usługi, więc gdy Piers później zasugerował, że chciałby spędzić u niej noc, nie oponowała. Przynajmniej w ten sposób może mu się odwdziżyć...

W następny poniedziałek James Alexander przejął stery bez najmniejszego problemu, ku głęboko skrywanemu rozczarowaniu Harriet. Sadie Harcourt-Smith jadła mu z ręki już po pierwszym spotkaniu ba, patrzyła na niego wzrokiem wiernego szczeniaka. Nawet lojalne pracownice Harriet złożyły broń bez walki; co więcej, na pierwszy rzut oka było widać, że Evelyn posunęłaby się o wiele dalej, gdyby tylko skinął ręką. Panna Judd, nieskora do pochwał, pokiwiała głową z uznaniem:

- Zna się na rzeczy, panno Hilliard. Szkoda, że go pani nie słyszała, jak rozmawiał z „Latham’s”. Sama bym tego lepiej nie zrobiła.

Zwycięstwo na całej linii.

Przez dziesięć dni obserwowała, jak czaruje klientów, uspokaja dostawców, zmiękcza serca producentów. Ba, sprzątnął sprzed nosa rywali Harriet komódkę Sheratona, którą uważała już za straconą.

Na dzień przed rejssem jadła z Piersem kolację.

- I jak się sprawuje stary James? - zapytał, bardzo pewien siebie.

Stary? Co to ma znaczyć? - zirytowała się Harriet. Przecież facet ma nie więcej niż trzydzieści osiem lat.

- Zna się na rzeczy - przyznała.

- I tyle? Nie pojmuję, dlaczego go nie lubisz. Bo nie lubisz, prawda? To się czuje. Kiedy przebywacie w tym samym pomieszczeniu, w powietrzu aż iskrzy! - Pokręcił głową. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Wszyscy go lubią. To bardzo sympatyczny facet.

Harriet wzruszyła ramionami.

- Różne są gusty.

- Cóż, przykro mi, że pod tym względem tak się różnimy. No, ale najważniejsze, żeby dobrze zarządzał „Harriet Designs”, prawda? - Piers zachichotał. - Ale wiesz, James nie przywykł właściwie do kłopotów z kobietami. W koledżu łamał serca na prawo i lewo, w damskich akademikach trudno byłoby znaleźć dziewczynę, która nie uległa jego urokowi. - Przerwał. - Właściwie to przez niego poznałem Paulę.

Harriet gapiała się niemądrze. Piers wiercił się niespokojnie, unikając jej wzroku, jeszcze bardziej rumiany niż zwykle.

- Wiesz, bardzo jej zależało na Jamesie... ale jemu znacznie mniej. Szczerze mówiąc, nawet mnie przed nią ostrzegął...

- Przed czy po? - Harriet nie mogła powstrzymać się od tej złośliwości.

- Przed... W kółko powtarzał, że Paula jest na łowach.

- No, z ciebie z pewnością zrobiła idiotę!

Harriet żalowała, że nie ugryzła się w język. Na widok miny Piersa zrobiło jej się go żal.

- To nie fair - przeprosiła go natychmiast. - Masz rację. Potrzebny mi jest wypoczynek.

Piers rozpromienił się. Wiedział, że zwykle Harriet nie jest tak jadowita.

- Nie musisz przeproszać za prawdę - uspokoił ją wielkodusznie, co tylko pogłębiło u Harriet poczucie winy. - Naprawdę zrobiła ze mnie głupka. Kiedy ją poznałem, zauroczyła mnie. Oczywiście odkąd jestem z tobą, wiem, że to nie miało nic wspólnego z miłością. Zawróciła mi w głowie jej ładna buzia. Niestety, nie potrafię, tak jak James, patrzeć w głąb.

- Cóż, jej twarz jest naprawdę zachwycająca - Harriet uśmiechnęła się lekko.

- Owszem, ale, jak mawia James, to tylko fasada. Dałem się nabrać na złoconą powłokę, a szukałem przecież ciebie, czyli czystego złota. - Pochylił się nad stołem, podniósł jej dłoń do ust, pocałował. - Jesteś taka cierpliwa. Czekasz tyle czasu i nigdy się nie skarżysz. Nie wiem, czym na ciebie zasłużyłem.

- Wierzyłeś we mnie, popierałeś, zachęcałeś... i pożyczyłeś dużo pieniędzy.

- Pożyczanie pieniędzy to mój zawód, a ty okazałaś się kurą znoszącą złote jajka. Ale nie mówiłem o interesach, Harriet. Mówiłem o nas.

Nie odezwała się. Zdawała sobie sprawę, że Piers przykładał zdecydowanie większą wagę niż ona do prywatnej strony ich związku, i jak zwykle, gdy poruszał ten temat, poczucie winy uniosło łeb i kąsało boleśnie. Bardzo lubiła Piersa; obiecała przecież, że za niego wyjdzie, kiedy (o ile w ogóle) uzyska on rozwód z żoną, która na razie nie ma

zamiaru pozwolić mu odejść. Chodziła z nim do łóżka, ilekroć miał na to ochotę, co nie zdarzało się zbyt często, jako że Piers nie miał ani wybujałego temperamentu, ani specjalnych talentów w tej dziedzinie. Bardzo jej to odpowiadało, bo i ona nie przepadała za łóżkowymi igraszkami. Piers pochwalał to, ba, kamień spadł mu z serca; Paula była nienasycona, nie potrafił jej zaspokoić, a powściągliwość Harriet stanowiła w jego oczach cechę prawdziwej damy. Tak więc jego żona brała kochanków na prawo i lewo, wiedząc, że kierujący się dziewiętnastowiecznymi zasadami mąż nigdy nie zdecyduje się na rozwód i ujawnienie wobec świata, że przyprowadził mu więcej rogów, niż miał palców u rąk i nóg. Wolał trwać w zawieszaniu, co bardzo odpowiadało Harriet, która dzięki temu nie miała wyrzutów sumienia, poświęcając się bez reszty sprawom firmy.

Ostatnio jednak, jak zauważyła. Piers zachowywał się inaczej. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że minęły już prawie cztery długie lata separacji. Jeszcze tylko rok z kawałkiem i będzie mógł wystąpić o dyskretny rozwód bez orzekania o winie, na którym mu tak bardzo zależy: czysty grzeczny rozwód z powodu rozkładu pożycia, bez cienia skandalu.

Piers reprezentował wszystkie fobie arystokracji, w tym strach przed skompromitowaniem się w oczach opinii publicznej. I on, i jego bracia - najstarszy dziedziczył tytuł hrabiowski - nie gorszyli się niczym, co miało miejsce w ich towarzystwie, ale bledli ze strachu na samą myśl, że cokolwiek może się przedostać na zewnątrz. Paula nader często figurowała na kartach wysokonakładowych ekskluzywnych miesięczników, ale tylko jako dama z najwyższych sfer. Piers wolał nie myśleć, co by było, gdyby plotki na jej temat pojawiły się w żadnych sensacji brukowcach. Wolał też nie myśleć, co by było, gdyby odkryto jego związek z Harriet, bo Paula nie zawahałaby się przed zarzuceniem mu zdrady i znacznym uszczupleniem w postępowaniu rozwodowym rodowej fortuny Cayzerów. Dlatego długo trwało, zanim odważył się okazać Harriet swoje zainteresowanie, które ona, wdzięczna za finansowe wsparcie, przyjęła. Przynajmniej tak mogła mu się odwdziaczyć, powtarzała sobie w kółko.

- Wiesz, skorzystam z okazji, że wyjedziesz - mówił tymczasem Piers - i postaram się pogonić trochę Paulę. Chyba nie wytrzymam kolejnych piętnastu miesięcy.

- Więc czemu się nie rozwiedziesz od razu? - rzuciła z pewnością osoby, która wie lepiej. - Sześćdziesiąt lat temu twoje poglądy byłyby może na miejscu, ale nie teraz. Wtedy dżentelmen nie wnosił o rozwód, gdy żona przyprowadziła mu rogi, tylko czekał, aż ona wystąpi o rozwód z jego winy. Ale czasy się zmieniły, Piers, podobnie jak prawo. Odkąd się znamy, miałeś co najmniej tuzin okazji, by się z nią rozwieść. Prywatni detektywi dostarczyli ci sto razy więcej dowodów, niż potrzebujesz, a ty mimo to wolisz czekać pięć długich lat, byle dostać grzeczny, czysty rozwód z powodu niezgodności charakterów.

- Nie odpowiada mi szarganie mojego nazwiska w prasie brukowej - odparł sztywno. - Wiesz doskonale, że dotychczas w mojej rodzinie nie było rozwodów, w ogóle żadnych skandali. Wychowano mnie w przekonaniu, że dżentelmen nigdy, ale to nigdy nie szarga imienia kobiety.

- Paula robiła wszystko, co w jej mocy, by je dokumentnie zszargać - zauważyła Harriet brutalnie.

- Ale zachowała dyskrecję.

- I właśnie dlatego nigdy nie da ci rozwodu, mimo że od niej odszedłeś.

- Zdaję sobie z tego sprawę, dlatego jestem gotów wypłacić jej przyzwoitą sumkę, o ile zgodzi się na cichy rozwód.

- Zdaje się, że Paula przez przyzwoitość rozumie coś zupełnie innego niż większość ludzi. Nie pozwoli ci odejść, jeśli nie zapłacisz jej tyle, ile we własnym mniemaniu jest warta. Nie zawaha się przed wywołaniem potwornego skandalu, o ile pomoże jej to osiągnąć cel. Wiesz co możesz zrobić? Podsunąć jej nową ofiarę: faceta tak bogatego, że na samą myśl o nim rzuci cię jak starą rękawiczkę.

- To by było nie fair - obruszył się Piers.

- A ile razy ona była wobec ciebie nie fair? Jesteś zbyt pobłażliwy. Nie masz ochoty odplacić jej pięknym za nadobne?

- A co by mi z tego przyszło?

- Po pierwsze, sprawiłoby mi to ogromną satysfakcję!

- Jesteś o wiele twardsza niż ja - przyznał - choć nikt by tak nie pomyślał, patrząc na ciebie.

- Jeśli chodzi o pieniądze, jesteś bardzo twardy.

- To co innego. Muszę myśleć o moich inwestorach.

- A czy ja w ciebie nie zainwestowałam?

Uśmiechnął się ciepło.

- Twoje zaangażowanie jest dla mnie szczególnie cenne...Nie pozwolę, Pauli obrzucać cię błotem, o nie.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia.

- Masz dosyć czekania?

- Przecież od początku mówiłam, że mi to nie przeszkadza - wywinęła się od bezpośredniej odpowiedzi.

- Nie mogę się temu nadziwić. Kobieta, która w pracy jest jak w gorącej wodzie kąpana, w życiu prywatnym przejawia niewiarygodną wręcz cierpliwość.

Tylko dlatego, że jej tak wygodnie, pomyślała Harriet ze skrucą.

Wieczorem Piers delikatnie pocałował ją w policzek.

- Nie, skarbie, nie zostanę dzisiaj. Musisz się spakować i wcześniej położyć, żebyś wypoczęła przed podróżą. Masz za sobą bardzo intensywne dni... Wiem, jaki absorbujący jest James. Kiedy wrócisz, energii jak dawniej, będziemy się kochać, ale na razie chcę ci udowodnić, że i ja jestem cierpliwy... - Pocałował ją jeszcze raz i wyszedł.

Harriet kończyła pakowanie. Piers załatwił jej, dzięki swojej pozycji kabinę pierwszej klasy na luksusowym statku, w którym miała udział firmę należąca do jego rodziny. Składając starannie koszulki, sukienki i spodnie, złapała się na tym, że po raz pierwszy od wielu miesięcy - a może lat? - myśli o swoim związku z Piersem i sytuacji, którą przywykła uważać za normalną.

Gdy się poznali, była ambitną dwudziestojednoletnią absolwentką uniwersytetu, której największym marzeniem było stać się najlepszą, najbardziej znaną projektantką wnętrz - skrzyżowaniem obu Davidów, Mlinarica i Hicksa, z dodatkiem Niny Campbell. W tym celu zwróciła się do Piersa Cayzera z firmy „Cayzer Uhimann”, słyszała bowiem, że czasami ryzykuje i inwestuje w czarne konie, które nader często okazują się opłacalnym ryzykiem. Przyjął ją uprzejmie, choć słuchał najpierw jedynie z grzeczności. Gdy jednak dostrzegł jej szaloną ambicję, przebijającą przez układne, wyważone słowa, jego zainteresowanie zaczęło gwałtownie rosnać. Gdyby marzenia były końmi, ta paniątka byłaby właścicielką niemałej stadniny... Zdał się na instynkt i zainwestował w nią, co opłaciło mu się jeszcze bardziej, niż zakładał. Nie przypuszczał natomiast, że się w niej zakocha.

Piers był już wówczas żonaty - zdążył w pośpiechu poślubić Paulę, czego nieustannie żałował. Gdy ją poznał, była posiadaczką tytułu „Twarz Roku” i uganiały się za nią tabuny mężczyzn. Naiwny jak dziecko, ślepy na sztuczki przebiegłych materialistek, Piers oszalał ze szczęścia, gdy zwróciła uwagę właśnie na niego. Nie dostrzegał, że pragnie tylko jego pieniędzy, których zresztą posiadał niemało.

Paula pokonała daleką drogę z Chingford. Zaczęła skromnie, od podrzędnego gwiazdora rockowego, po czym przechodziła z rąk do rąk, ma się rozumieć coraz bogatszych. Dzięki pieniądзом partnerów stworzyła swój nowy wizerunek: chodziła na lekcje wymowy, jeździła na farmy piękności, wydała fortunę na chirurgów plastycznych i kreacje od najlepszych krawców. Koniec końców miała akcent debutantki z Chelsea i styl bycia dobrze wychowanej paniątki z dobrego domu; zniknęło to jednak bez śladu, gdy tylko poczuła na palcu pierścioneńkę zaręczynową z dwudziestokaratowym brylantem, a wkrótce potem - obrączkę małżeńską z najczystszej platyny.

Małżeństwo, które, jak naiwnie sądził Piers, będzie niebiańsko rozkoszne, okazało się piekłem na ziemi. Pauli nigdy nie było w domu; wkrótce przekonał się zresztą, że w tym czasie przebywała w towarzystwie innych mężczyzn. Wydawała pieniądze, jakby parzyły ją w ręce, a gdy usiłował delikatnie zwrócić jej uwagę, oznajmiła mu z brutalną szczerością rodem z Chingford, że chyba należy jej się trochę przyjemności w życiu, a skoro mąż nie ma pojęcia, jak ją zadowolić w łóżku... Była jednak ostrożna. Nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić mu odejść - klatka była z czystego złota, a nie brakowało mężczyzn chętnych dać jej rozkosz. Kiedy się zorientowała, jak bardzo Piers obawia się skandalu, przestała się przejmować. Cały czas zachowywała pozory, ale zmieniała kochanków jak rękawiczki. Piers zebrał się na odwagę i wyprowadził z domu przy Hill Street do klubu dopiero wtedy, gdy poznał Harriet i zakochał się w niej. Umożliwił Pauli odgrywanie roli nieszczęśliwej porzuconej żony, która daremnie nalega na powrót męża.

Kiedy zdał sobie sprawę, że chce mieć w Harriet partnerkę nie tylko w interesach, ale i w życiu, szczerze przedstawił jej swoją sytuację i poprosił, by poczekała, aż uzyska rozwód bez orzekania o winie. Harriet, która była mu równie wdzięczna, jak on w niej zakochany, zgodziła się i obiecała, że będzie cierpliwa. Owo oczekiwanie stało się właściwie częścią ich związku. Harriet coraz częściej łapała się na powątpiewaniu, czy aby na pewno Paula pozwoli Piersowi odejść.

Plotki zawsze działały na niego jak płachta na byka, toteż przez cały czas trwania ich związku chodził z Harriet do łóżka tylko wówczas, gdy, jak to określał, horyzont był czysty. Było powszechnie wiadomo, że łączą ich interesy, nikt nie widział więc nic podejrzanego w fakcie, że zabierał ją do restauracji. Piers bardzo jednak uważał, żeby nie spotykali się publicznie na tyle często, by mogło to sugerować coś więcej niż czysto zawodowe partnerstwo. - Paula jest zdolna do wszystkiego - powiedział Harriet. - Niewykluczone, że kazała mnie śledzić, jeśli podejrzewa, że chcę odzyskać wolność. Lepiej niczego nie przyspieszajmy i nie wzbudzajmy podejrzeń. Chyba się ze mną zgadzasz?

Zgodziła się pokornie, była już bowiem wówczas po uszy zakochana w „Harriet Designs” i dziękowała losowi za fakt, iż Piers przedkładał pozory nad własne szczęście. Teraz ogarnął ją niepokój. Pierś przejawiał nietypowe dla niego zniecierpliwienie, a ona i bez tego miała dosyć kłopotów na głowie. Przecież powierzyła swój najcenniejszy skarb Jamesowi Alexandrowi.

Dyskretne dochodzenie, jakie przeprowadziła, wykazało, że cieszy się doskonałą opinią w zawodowym świecie. Zamiast uspokoić, potęgowało to tylko jej zdenerwowanie. Ciągłe miała wrażenie, że popełnia błąd, powierzając mu swoją firmę, aczkolwiek nikt nie podzielał jej obaw. Wręcz przeciwnie, najbliższe współpracownice były nim oczarowane. Evelyn świata poza nim nie widziała, a nawet panna Judd, przedstawicielka wymierającego gatunku zasuszonych starych panien, nie łypała na niego gniewnie, jak zwykła w przypadku innych mężczyzn.

Dlaczego więc ilekroć na niego spojrzała, rozlegał się w jej głowie dzwonek alarmowy? Jaki instynkt ostrzegał,

że przez niego wpadnie w kłopoty i będzie żałowała, że go w ogóle poznała? Co za pech, że musi wyjechać na urlop... Zdawała sobie jednak sprawę, że naprawdę potrzebuje wypoczynku. Goniła ostatkiem sił. Nic jej nie cieszyło, choć nie miała pojęcia, co jest tego przyczyną. Odniosła sukces, miała zabezpieczoną przyszłość, spełniły się jej ambicje. Dlaczego więc ciągle miała uczucie, że coś traci? To na pewno reakcja po długiej, mozolnej wspinaczce na wierzchołek, tłumaczyła sobie. Kosztowało ją to tyle wysiłku, że obecne zmęczenie to objaw w pełni naturalny. Ale warto było - dotarła na sam szczyt. Więc dlaczego jest taka niespokojna, jakby... jakby, patrząc wstecz, zobaczyła, że jej szczyt zamienił się w głęboką dolinę...

Piers uparł się, że odwiezie ją do Southampton. Na pokładzie przekonała się, że zmienił jej kajutę w buduar damy. Uściskała go serdecznie. Teraz, gdy mieli się rozstać, stwierdziła, że wcale nie ma na to ochoty... A on, jakby doszedł do wniosku, że sześć tygodni z dala od niej (Harriet kategorycznie odmówiła wyjazdu na trzy miesiące) to więcej, niż może wytrzymać, całował ją jak nigdy - bez zwykłej rezerwy i opanowania.

- To mi musi wystarczyć na bardzo długo - wyjaśnił.

Harriet uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach.

- Za to pomyśl, jak się ucieszysz, gdy wrócę.

Objął ją mocniej.

- Naprawdę będziemy mieli co świętować - będziesz taka jak dawniej, pełna blasku i energii, wreszcie znikną cienie pod oczami... - delikatnie musnął je palcami. - Na tych ślicznych kosteczkach pojawi się odrobina tłuszczu... - Była tak szczupła, że niemal otaczał dłońmi jej talię. - Jesteś drobna i delikatna jak ptaszek - stwierdził zaniepokojony.

Pocałowała go mocno.

- Ale twarda jak stal, o tym chyba zapomniałeś?

- Będziesz za mną tęskniła, tak jak ja za tobą? - zapytał gorąco.

- A za kim miałabym tęsknić, jeśli nie za tobą?

- Za drugą Harriet...

- Chwilowo mam jej dosyć. Ale pamiętaj, liczę na ciebie, że będziesz miał na oku tego twojego Jamesa Alexandra. Obawiam się, że może sobie nie poradzić...

Piers zerknął na nią z ukosa.

- Powtarzam ci to w kółko - James jest jak najbardziej godny zaufania. Dlaczego ciągle podejrzewasz, że kierują nim jak najgorsze pobudki?

- Bo mam wrażenie, że jest zdolny do wszystkiego. To nie tak, że nie jestem mu wdzięczna, owszem, tylko po prostu... cóż, niby dlaczego ktoś jego pokroju zgodził się pokierować małą jednoosobową firmą, nawet tylko w zastępstwie?

- Najważniejsze, że się zgodził.

- Piers, przejście z giganta typu „Lewisohn’s” do mojej firmy to jakby przesiąść się z sterów concorde’a do starego dwupłatowca.

Zbył to wzruszeniem ramion. - O ile znam Jamesa, poradziłby sobie i z jednym, i z drugim.

- O to mi właśnie chodzi - stwierdziła pośpiesznie Harriet.

Rozbrzmiał gong, który wzywał wszystkich odprowadzających do powrotu na brzeg.

- Nie - złapał ją za rękę, gdy sięgała po płaszcz. - Nie wychodź na pokład. Jest chłodno, pada. Poczekaj, aż wypłyniecie na ciepłe wody. Opalisz się i wrócisz złota od słońca. Tylko schodź na ląd w każdym porcie i wysyłaj do mnie kartki!

- Obiecuję! - W nagłym przypiływie czułości uściskała go serdecznie. - Dziękuję za wszystko, także za to, że przez ostatnich kilka miesięcy znosiłeś moje humory. Postaram się odprężyć, dam słowo. Kiedy wrócę, będę zrelaksowana i łagodna, choć do rany przyłoż.

- Aż się wierzyć nie chce - zażartował. Pocałowali się jeszcze raz, pomachał na pożegnanie i wyszedł.

Mimo jego przestrogi, Harriet narzuciła płaszcz na ramiona i wyszła popatrzeć, jak zrzucają cumy i odbijają od brzegu. Piers miał rację, pogoda była rzeczywiście okropna, ale wróciła do kabiny dopiero, gdy odbili od nabrzeża. Cóż, pomyślała, właśnie powierzyłam to, co w moim życiu najcenniejsze, w ręce obcego człowieka. Mam nadzieję, Piers, że twój przyjaciel nie zawiedzie mojego zaufania...

## 2

Przez kilka pierwszych dni strasznie ją kusilo, żeby zadzwonić do Piersa i zapytać, co tam w firmie. Powstrzymała się tylko dlatego, że nie chciała, by James Alexander uśmiechał się kpiąco, słysząc, jak się niepokoi. Dał jej przecież wystarczająco jasno do zrozumienia, co sądzi o jej matczynej trosce o drugą Harriet. To śmieszne, złościła się, ale jednocześnie postanowiła, że udowodni mu, iż się mylił. Pokaże mu, że potrafi bez niej żyć. Ku swemu zdumieniu odkryła, że im dalej na południe płynął wielki biały statek, tym skuteczniej sphywało z niej napięcie, zniknęło zdenerwowanie, rozwiewały się wątpliwości... Pod koniec drugiego tygodnia była wdzięczna lekarzowi, że namówił ją na urlop. Spała jak dziecko, co najmniej dziesięć godzin dziennie. Odzyskała apetyt i z rozkoszą degustowała znakomite dania na uroczystych kolacjach. Opałała się - ostrożnie, bo przy jej jasnej karnacji



nietrudno o poparzenie - i pod koniec trzeciego tygodnia jej skóra miała ciepły odcień brzoskwini. Czytała rozmaite powieści, thrillery, kryminały, romanse i biografie, które Piers przytaszczył do jej kajuty. Poznawała nowych ludzi, unikając jednak zalotów pokładowych podrywaczy, którzy widzieli w samotnej kobiecie łatwy łup. Nie zrażała ich przy tym ani obecność żon, ani to, że Harriet była o dobre dwadzieścia lat młodsza niż znakomita większość pozostałych pasażerów. Uczestniczyła we wszystkich wyprawach na ląd, skąd posłusznie wysyłała pocztówki do Piersa i przeczesywała antykwiariaty i bazyry w poszukiwaniu rzeczy oryginalnych i zabytkowych. Kupowała jednak z umiarem, nie chcąc, by biedny Piers musiał czekać na nią z ciężarówką. Bawiła się tak dobrze, że wkrótce stwierdziła, iż dni mijają w zastraszającym tempie. Wydawało się, że ledwie wyruszyła w te podróże, a już wracają do Southampton. Przejrzała się w lusterku, zadzwoniła po stewarda, by zajął się jej bagażem, i pomyślała z zadowoleniem: cóż, Piers, chyba spełnię twoje oczekiwania. Oby tylko James Alexander spełnił moje...

Nie Piers jednak czekał na nią na nabrzeżu, tylko właśnie jej zastępca, ukryty za ostentacyjnym bukietem krwiście czerwonych róż.

- Mogłabyś przynajmniej powiedzieć „dzień dobry” - stwierdził potulnie, widząc jej zdumienie.

- Jesteś ostatnią osobą, której się tutaj spodziewałam - odparła szczerze, zirytowana, że widział jej reakcję.

- Za to pierwszą, która wita cię po urlopie. - Obrzucił ją badawczym spojrzeniem. - Nie muszę pytać, czy wypoczęłaś. Czy to aby na pewno Harriet Hilliard, a nie hollywoodzka gwiazda?

- Daruj sobie te pochlebstwa - przerwała mu w pół słowa.

Roześmiał się, opuścił róże i pocałował ją w usta, czego się nie spodziewała. - To od Piersa - stwierdził beczelnie. - I pocałunek, i róże. Niestety, jestem tylko marną namiastką. W ostatniej chwili okazało się, że ma spotkanie z bardzo ważnymi Arabami, więc wydelegował mnie w zastępstwie. Obiecałem, że wypełnię jego instrukcje co do joty. Po pierwsze, mam cię zapewnić, że w firmie wszystko w porządku, żeby nie powiedzieć różowo, choć nie jest to chyba twój ulubiony kolor. Nie żebyś wyglądała na szczególnie zmartwioną, co mnie zresztą bardzo cieszy. Nie został nawet ślad po cieniach pod tymi przepięknymi oczami, do tego zaokrągliłaś się w... jakby to powiedzieć, nader odpowiednim stopniu...

- Po prostu wróciłam do dawnej wagi - oznajmiła spokojnie.

- To widać. Tam, gdzie trzeba. Najwyraźniej sześciotygodniowe rozstanie z oczkiem w głowie nie było takie straszne, jak się tego obawiałaś.

Harriet odwróciła się, pozornie by podnieść płaszcz, w rzeczywistości by ukryć oburzenie. Nieważne, że to i owo dostrzegł, lecz że miał czelność to powiedzieć? Z drugiej strony, mając takie oczy... Zamyśliła się, ale zaraz przywołała się do porządku. Nie sprawi mu satysfakcji i nie da się sprowokować.

- Daj mi kwity, zajmę się twoim bagażem - zaproponował. - Przyjechałem samochodem.

Był to przepiękny jaguar XJS, w kolorze róż. Błyskawicznie przeprowadził ją przez kontrolę celną, zapakował jej torby do bagażnika z wprawą zdradzającą wytrawnego podróżnika i mruknął:

- Widzę, że jednak nie zapomniałaś zupełnie o drugiej Harriet. Wygląda na to, że wykupiłaś towar ze wszystkich sklepów stąd do Istambułu.

- Tylko kilka drobiazgów, którym nie mogłam się oprzeć.

- Więc to pewnie cudenka. A miałem cię za damę odporną na uroki kupowania.

Już otwierała usta, by się odciąć, ale w ostatniej chwili zmieniała zdanie. Jeśli zareaguje, będzie ją drażnił dalej.

- W porządku, jestem gotów - powiedział, kiedy w końcu ruszyli. - Czekam na krzyżowy ogień pytań na temat ostatnich sześciu tygodni;

- Wcale nie chciałam cię o nic pytać - odparła fałszywie.

- Owszem, chciałaś - odparował z niewzruszoną pewnością w głosie. - Jakby nie było, zatrudniłaś mnie na okres próbny. Ale jestem przekonany, że gdy zobaczysz efekty, nie będziesz żałowała wyboru... Kto wie, może nawet pogratulujesz sobie mądrej decyzji?

- Żadnych problemów? Nawet z panią Harcourt-Smith? Co o niej sądzisz?

- Bez przerwy włąziła mi w drogę. Ale apartament jest gotów i bardzo jej się podoba. Do tego stopnia, że w przyszłym tygodniu wydaje przyjęcie, na które jesteś serdecznie zaproszona. Tym sposobem wystawisz mi ocenę za moje wysiłki z naszą gwiazdą musi-challu, ale uprzedzam, że spodziewam się co najmniej piątki z plusem.

- Żadnych tiulowych draperii? Posągów z kolorowego szkła?

- Ani jednego. To czysta Harriet Hilliard, a wiemy wszak, co to oznacza. - Zerknęła na niego ukradkiem, ale miał minę równie niewinną jak głos. - Uległem jej w kilku drobiazgach, by trwała w przekonaniu, że sama wszystko wymyśliła.

- A reszta?

Przedstawił krótko bieżące sprawy. Jeśli mówił prawdę - a najwyraźniej mówił, stwierdziła z czymś na kształt smutku - naprawdę nie musiała się o nic martwić.

- Na biurku znajdziesz mój raport. Pomyślałem, że pewnie zechcesz zobaczyć wszystko czarno na białym - to był mój ulubiony zestaw kolorów, dopóki się nie przekonałem, czego może dokonać kit i złoto.

Ich spojrzenia spotkały się w lusterku. Harriet zarumieniła się.

- Jak ci się udało powstrzymać Harcourt-Smith od groszkowo- różowych szaleństw? - zapytała szybko.

- Odwracałem jej uwagę. Siła sugestii jest potężniejsza niż największy autorytet. Dlatego miałaś z nią starcia; walczyły dwie kobiety. Ja zaś jestem mężczyzną.

- Coś takiego - zdziwiła się złośliwie. Teraz on zerknął na nią pospiesznie i uśmiechnął się szeroko.

Zwolnił przed zakrętem, wziął go bez najmniejszego wysiłku i ponownie wcisnął pedał gazu. Okazał się wyśmienitym kierowcą: wydawało się, że bez trudu przewiduje wszelkie możliwe problemy i omija je, zanim im zagrażą. Hamował, przyspieszał i wyprzedzał z refleksem drapieżnego kota.

- Sadie to klasyczny produkt swego pokolenia - tłumaczył. - Pokolenia, które wmówiło kobietom, że są nic niewarte, jeśli u ich boku nie ma mężczyzny. Te, które się na to nie godziły, jak na przykład twoja panna Judd, kończyły jako zgorzkniałe stare panny, choć akurat zgorzknienia pannie Judd zarzucić nie można. Wystarczyło, bym słuchał paplaniny Sadie, żeby miała poczucie, że wspiera się na ramieniu mężczyzny. Musiałem tylko wydawać odpowiednie pomruki we właściwych momentach.

- Czyli?

- Och, nie chcesz chyba, żebym ci zdradzał zawodowe tajemnice! Nie mogę ryzykować, że przejmiesz moje metody!

- Sadie Harcourt-Smith nigdy mi nie wyglądała na osobę, która nie wie, czego chce - stwierdziła kwaśno Harriet.

- A jednak. Popełniłaś błąd upierając się, że wiesz lepiej.

- Popełniłam błąd? Co chcesz przez to powiedzieć? - Harriet uniosła się oburzeniem.

- No, kłóciłaś się z nią. Mówiła mi, że upierałaś się przy swoim. A ona przez cały czas była otwarta na wszelkie sugestie.

- Więc sugerowałaś?

- Jak już powiedziałem, Sadie należy do pokolenia, które wierzy, że kobieta powinna zawsze polegać na zdaniu mężczyzny.

- A niby dlaczego?

- Bo, w przeciwieństwie do ciebie, nie jest ani niezależna, ani samowystarczalna. W twoich oczach poleganie na mężczyźnie, czy kimkolwiek innym, to oznaka słabości. Sadie przez całe życie polegała na mężczyznach, oni zaś utrzymywali ją właśnie w zamian za to, że darzyła ich takim zaufaniem.

- Innymi słowy, sprzedawała się. - Harriet skrzywiła się.

I znowu poczuła na sobie jego spojrzenie, ale powiedział tylko:

- Mówiłem już, to inne pokolenie. W młodości była prawdziwą pięknoscią, widziałem zdjęcia, ale nie miała nic oprócz urody. Nawet gdyby los obdarzył ją twoją ambicją i uporem, że już nie wspomnę o inteligencji i tak nie miałyby szans, by je w pełni wykorzystać. Trzydzieści pięć lat temu nikt kobiet nie zachęcał do kariery. Twoje pokolenie to co innego.

- Dzięki Bogu! Kiedy poszłam do Piersa, sprzedawałam jedynie moje umiejętności.

- A jednak koniec końców wylądowaliście w jednym łóżku.

- Nie planowałam tego. Był... - Z niewiadomych przyczyn dalsza część zdania nie chciała jej przejść przez gardło, ale James dokończył za nią:

- ... nagrodą specjalną?

- No, tak. Poszłam do niego wyłącznie po wsparcie finansowe.

- Wiele kobiet planowałoby zdobyć i jedno, i drugie.

Dumnie uniosła podbródek.

- Ale ja nie jestem większością kobiet. Nie zgodziłam się wyjść za Piersa dlatego, że jest bogaty.

- Wiem o tym doskonale. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, może interesują cię najświeższe wiadomości z frontu?

- Tak? - Przeszedł ją dreszcz, gdy uchwyciła w lusterku swoje odbicie; nie wiedziała nawet, że ściągnęła brwi w ponurym grymasie.

- Piers nie może się doczekać, kiedy ci wszystko opowie.

Już otwierała usta, by powiedzieć: - Skoro wydelegował cię w zastępstwie, to może zastąpisz go i w tym względzie? - ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Instykt ostrzegał, że nie powinna wdawać się z nim w słowne potyczki, zwłaszcza na temat walki Piersa o wolność.

- Wcale mu się nie dziwię - stwierdziła tylko.

- Szaleje z radości jak szczeniak - dodał James od niechcienia, po czym zadał cios, który zaparł jej dech w piersiach: - A ty nie? Dlaczego?

- Przecież jeszcze nie wiem, o co chodzi! - burknęła przytomnie. Cmoknęła ustami w taki sposób, że ze złości miała ochotę zagryzać zębami.

- Daj spokój, Harriet. To chyba oczywiste?

- Czasami nawet rzeczy oczywiste są niejasne.

- Więc czemu nie spróbujesz zgadnąć?

- Przedkładałam fakty nad fikcję.

Westchnął.

- No tak, to jasne. - Po chwili, ze smutkiem w głosie, podjął: - Czy w twojej duszy nie ma ani cienia romantyczności, Harriet? Wy niezależne damy, pozbawiacie walkę płci wszelkiego uroku i fantazji.

Tego było już za wiele.

- Po pierwsze - Harriet cedziła słowa pomiędzy zaciśniętych zębów - nie jestem jedną z twoich dam. Po drugie, nie biorę udziału w żadnej walce płci.

- No właśnie, dlaczego? Bardzo mnie to intryguje.

Puściła pytanie mimo uszu.

- Aby być niezależną, w twoim rozumieniu tego słowa, trzeba by najpierw tę niezależność utracić, a potem odzyskać. Ja tymczasem nigdy nie zależałam od nikogo.

- Wiem. Piers mi mówił, że zawsze postępowałaś po swojemu.

- Nie szukam etykietek, panie Alexander. Zawsze byłam, jestem i będę panią swego losu.

To zamknęło mu usta, stwierdziła radośnie, gdy w milczeniu pokonywali kolejne mile. Otworzył je dopiero w przytulnym zajeździe, gdzie się zatrzymali na lunch.

- Piers jest zajęty aż do wieczora, nie musimy się spieszyć - rzucił nonszalancko.

Podczas posiłku rozmawiali na bezpieczne, ogólne tematy. Mimo to bez przerwy toczyli słowne pojedynki, ciągle po przeciwnych stronach barykady. Dyskutowali teraz jednak w zdecydowanie bardziej przyjacielskim tonie. Harriet pochłonęła w tym czasie spory lunch i dużą kawę. James dużo mówił, ona słuchała.

Zanim skończył szesnaste lat, mieszkał w sześciu różnych krajach - jego ojciec był wysoko postawionym dyplomatą ONZ. Na konferencji w San Francisco poznał matkę Jamesa, rodowitą Amerykankę. James pochodził z licznej rodziny: miał dwie starsze siostry i młodszego brata. Teraz, gdy ojciec przeszedł już na emeryturę, rodzice mieszkali przez pół roku w Londynie, a pół - w Kalifornii.

Gdy w końcu spojrzął na zegarek i z wahaniem oznajmił: - Niestety, czas na nas - Harriet nie wierzyła własnym oczom: już wpół do czwartej! Pozostała część drogi upłynęła spokojnie, bo starannie omijali drażliwe tematy. Gdy jaguar zatrzymał się przed jej domem na Pont Street, Bentley Piersa już czekał.

- A nie mówiłem? - odezwał się James. - Pewnie już przestępuje z nogi na nogę. Zaprosicie mnie na ślub, prawda?

- Cóż, podtrzymamy tradycję. Przecież byłeś na jego pierwszym, może nie? - stwierdziła słodko.

- Więc Piers ci powiedział?

- Że to ty przedstawiłeś mu Paulę? Tak.

- Kierowały mną co prawda czysto egoistyczne pobudki, ale nie może zaprzeczyć, że go ostrzegałem. Być może Piers jest geniuszem finansowym, ale jego znajomość kobiet zmieściłaby się w główce od szpilki. - Obszedł samochód, pomógł Harriet wysiąść, otworzył bagażnik, wyjął jej torby. - Otwórz drzwi, wstawię je do holu, potem Piers zanieś je dalej. - Ostrożnie postawił bagaże na podłodze.

- Dziękuję - Harriet uśmiechnęła się lekko. - Za wszystko. Zwłaszcza za minione sześć tygodni. Przyznam, że początkowo nie bardzo podobał mi się ten pomysł z urlopem.

- Coś takiego! - uśmiechnął się ironicznie.

- Zgodziłam się tylko ze względu na Piersa, ale z tego, co mówisz wynika, że miał rację. Ale uważaj - w jej policzkach pojawiły się dołeczki. - Najpierw muszę się na własne oczy przekonać, co zrobiłeś u pani Harcourt-Smith.

- Zastosowałem się do twoich poleceń.

- Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę.

- Już niedługo: przyjęcie jest za tydzień.

- Będziesz w firmie w poniedziałek?

- Tak, wolę przekazać ci władzę osobiście i oficjalnie. Już się odwróciła, gdy dodał: - Pozwolę sobie dodać, że było to wielce przyjemne doświadczenie... i nader kształcące.

Piers nie posiadał się z radości na jej widok.

- Kochana, najdroższa! Wyglądasz cudownie! Bardzo ci służy opalenizna, i zaokrągliłaś się tam, gdzie trzeba! Czuję to! Wyglądasz o niebo lepiej. Znowu jesteś taka jak dawniej, kształtna i powabna. Odpoczęłaś?

- I to bardzo. Miałaś rację nalegając, żebym się wybrała na ten rejs. - Uściskała go i wyczoławała.

- A James spisał się doskonale, jak ci mówiłem. Ta Harcourt-Smith jest w niego wpatrzona jak w obraz, w firmie wszystko chodzi jak w zegarku, i czy to nie miło z jego strony, że po ciebie pojechał? Naprawdę nie dałbym rady, skarbie. Miałem bardzo ważne spotkanie. Nie gniewasz się, prawda? - Zaniepokoił się nagle, gdy przypomniał sobie, że nie darzyła jego przyjaciela szczególnie sympatią.

- Nie - odparła szczerze.

- To dobrze. A teraz wejdź i usiądź wygodnie. Opowiadaj wszystko, ze szczegółami... co robiłaś, z kim się zaprzyjaźniłaś, jak się bawiłaś. ..

Harriet posłusznie opowiadała, jak spędziła minione sześć tygodni, a w przerwach Piers całował ją i pieścił, jakby

nie mógł się nią nacieszyć.

- Wyglądasz ślicznie, najdroższa. Nie mieści mi się w głowie, że w tak krótkim czasie można się tak zmienić. Jesteś wypoczęta, tryskasz energią, promieniejesz. A kiedy się dowiesz, co mam ci do powiedzenia, rozpromienisz się jeszcze bardziej. Paula zgodziła się na szybki rozwód bez orzekania o winie, z powodu niezgodności charakterów i rozkładu pożywania! - I dodał tryumfalnie. - Co ty na to?

Ponieważ James Alexander przygotował ją na tę rewelację, nie tyle myślała, co czuła - odebrała to jak cios pięścią w żołądek.

- Wiedziałem, że się zdziwisz - paplał Piers radośnie.

- Ale... co ją skłoniło do tak gwałtownej zmiany stanowiska?

- Pewnie nie uwierzysz, ale przyczynił się do tego James.

Wiedziała! - pomyślała, czując jak ogarnia ją wściekłość. Poprzednie uczucie sympatii rozwiało się bez śladu. Podstępny sukinyś! A jednak się nie pomyliła. Kierują nim niskie pobudki.

- Kiedyś wspominałem przy nim, co powiedziałaś, że Paula powinna znaleźć kogoś bogatszego ode mnie, i wiesz co? James przedstawił ją jakiemuś amerykańskiemu Krezusowi, znajomemu jego matki.

- Doprawdy, twój przyjaciel James to zaskakujący człowiek - wycedziła Harriet przez zęby.

Piers, który nie posiadał się z radości, nie usłyszał jadu w jej głosie.

- Zgadza się z tobą w zupełności. Mówiłem ci, że zna wszystkich.

Tym razem nie ugryzła się w język na czas.

- I co z tego ma? Prowizję? - Życzyła Jamesowi Alexandrowi mąk piekielnych. Jak on śmiał! Co za bezczelny typ!

- Och, Harriet... Powinniśmy być mu wdzięczni. Przecież chciał tylko pomóc...

Owszem, ale sobie samemu, pomyślała gniewnie. Ma w tym jakiś interes od początku się tego domyślałam. Czy to naprawdę takie dziwne, że mu nie ufam? O co mu naprawdę chodzi?

Głowiła się nad tym przez cały weekend, na przemian z innymi ponurymi faktami, którym musiała stawić czoła. Najgorszy wyglądał następująco: Paula Cayzer zwróci mężowi wolność, by ten mógł pogubić niejaką Harriet Hilliard. Dopiero teraz uświadomiła sobie z brutalną jasnością, że nie ma najmniejszej ochoty zostać panią Piersową Cayzer. Nigdy nie przypuszczała, że naprawdę do tego dojdzie; gdy poprosił ją o rękę, powiedziała „tak” tylko dlatego, że ta chwila wydawała się równie odległa jak Mars. Co ja najlepszego zrobiłam? - głowiła się, z przerażeniem patrząc na rysujące się przed nią perspektywy. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: wykorzystwała Piersa z zimną krwią. Był zasłoną dymną, dzięki której mogła poświęcić cały czas i energię temu, co naprawdę się dla niej liczyło, czyli „Harriet Designs”. Najpierw udzielił jej wsparcia finansowego, potem, jako jej kochanek, odstraszał innych wielbicieli. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że choć pracowała jak wół, by spłacić mu dług pieniężny, nawet przez chwilę nie pomyślała o emocjonalnym.

O mój Boże - jęknęła, osuwając się na fotel. - Co ja najlepszego zrobiłam? Nie kochała Piersa; lubiła, ba, darzyła go niemal matczynym uczuciem, ale na myśl o reszcie życia u jego boku robiło jej się słabo.

Kłopot w tym, że obiecała za niego wyjść, i ta obietnica, ta nadzieja dawały mu siłę przez ostatnie lata. W imię ich wspólnej przyszłości trwał przy niej, chronił ją. W tym momencie uświadomiła sobie coś jeszcze: wybrała Piersa właśnie dlatego, że był mężczyzną, który kieruje się zasadami sprzed stu lat.

Była tak wytraconą z równowagi, że zaczęła nerwowo przechadzać się tam i z powrotem po dywanie. Przeraziła ją świadomość, że ona, Harriet Hilliard, która zawsze starała się postępować uczciwie wobec innych - bo nie chciała mieć wobec nich żadnych zobowiązań - postąpiła jak uczuciowy oszust. Poczuli się tak, jakby znalazła się nago w pokoju pełnym obcych. Chciała umrzeć ze wstydu. I nagle, jak to się często zdarzało ostatnimi czasy, jej nastrój zmienił się diametralnie. Ogarnęła ją wściekłość. To wszystko wina tego przekłętą Jamesa Alexandra! Po co się wtrącał? Niech go piekło pochłonie! Ze złości walnęła pięścią w gzyms kominka. Niech się ziemia pod nim zapadnie! Wiedziała, że przysporzy mi kłopotów, gdy tylko go zobaczyłam! Co mam robić? Na Boga, co robić?

Wpatrzona w polerowany puchar, nagrodę, którą, jak zwykła żartować, sama sobie przyznała za wytrwałość i determinację, miała wrą żenię, że widzi złośliwe odbicie własnego demona. - Nie pytaj mnie o radę - zdawał się kpić. - Sama się wpakowałaś w tę sytuację, sama musisz z naleźć z niej wyjście. - Myślała, że po powrocie z rejsu podejmie przerwane wątki życia dokładnie w tym punkcie, w którym je porzuciła. Miały na nią czekać starannie posegregowane, każdy osobno. A tymczasem okazało się, że James Alexander rozwinął wszystkie kłębki i splątał nitki w koszmarny węzeł. Nie wiedziała nawet od czego zacząć rozplątywanie.

Dlaczego u licha, ganiła się, wspomniwała Piersowi, że Paula powinna znaleźć sobie nowego męża?

- Bo nie wierzyłaś, że to kiedykolwiek nastąpi - odpowiedział demon. I wcale by do tego nie doszło, gdyby nie wmieszał się stary przyjaciel, James Alexander. Przyjaciel, dobre sobie! Raczej wścibski drań!

Nie mogła jednak przestać myśleć o przyszłości. Czuła, że prędzej czy później przyjdzie jej spłacić największy dług jej życia.

### 3

W poniedziałek rano szła do biura w stanie najwyższej gotowości - przecież przekonała się już na własnej skórze, że po Jamesie Alexandrze można się spodziewać wszystkiego najgorszego. Nadal nie wiedziała, co chce osiągnąć,

wiedziała tylko, że nieobce mu są najbardziej podstępne sztuczki, a Piers i ona to za ledwie pionki w jego rękach.

Tego dnia jednak był uosobieniem dobroci. Nie okazał najmniejszego zainteresowania, nawet nie uniół znacząco brwi, choć zapewne domyślał się, co przez cały czas chodzi jej po głowie. Co za przebiegłość, pomyślała ze złością. Nie mogła w żaden sposób robić mu wyrzutów, bo tym samym odkryłaby swoje karty; mogła tylko czekać, aż on zrobi pierwszy krok. Tymczasem pierwsze, co od niego usłyszała, to informacja, że Sadie Harcourt-Smith chce, żeby dopilnował z nią kilku drobiazgów przed przyjęciem, więc na razie jeszcze trochę się tu pokręci, o ile Harriet nie ma nic przeciwko temu, ma się rozumieć.

Nie ma nic przeciwko temu! Jakby miała jakikolwiek wybór! No, jeśli nie traktuje tego jako okazji, by dalej namieszać, ile się da, to ona, Harriet, nie odróżnia buhla od biedermeiera! Ciekawe, jakiego jeszcze asa skrywa w rękawie doskonale skrojonej koszuli? Kierowana niepokojem, sprawdzała wszystko krok po kroku. Nie żeby musiała: panna Judd i Evelyn piąły z zachwytem nad nim, aż Harriet żałowała, że nie urodziła się głucha jak pień. Po południu James osobiście zdał jej szczegółowy raport ze swoich poczynań podczas minionych sześciu tygodni. Dwukrotnie przerywał mu telefon od pani Harcourt-Smith, do której zwracał się per „Sadie” takim tonem, że jej chichot słychać było w całym pokoju. Harriet tylko zacisnęła usta. Nie może zapomnieć, że od zlecenia pani Harcourt-Smith dostanie niemałą prowizję, a to, jak James traktuje klientki, to nie jej sprawa, o ile są zadowolone. A Sadie Harcourt-Smith była nie tylko zadowolona, ale wręcz niebiańsko szczęśliwa, jeśli sądzić po jej chichocie.

Humor Harriet, zamiast się poprawiać, pogarszał się z godziny na godzinę. Nie pomogło bynajmniej, gdy się dowiedziała, że producent który już nie od tygodni, ale od miesięcy zwlekał z dostawą pewnego szczególnego gatunku surowego jedwabiu, obiecał panu Alexandrowi dostarczyć go najdalej za dwa tygodnie. Jakby nie było, stanowił dla niej konkurencję, a że Harriet nie od dziś miała do czynienia z rywalami, postanowiła zrobić wszystko, by nie przegrać.

Przez najbliższy tydzień, który dzielił ich od przyjęcia u Sadie Harcourt-Smith, co rano spieszyła do sklepu, gotowa do walki na noże, czy raczej, jak to miało miejsce w ich wypadku, na języki. Wystarczyło, by wyraził się choćby odrobinę krytycznie o jej projekcie, a już godzinami ślezała nad planami, szukając błędów - i zazwyczaj go znajdowała. Tak było, gdy zaproponował, by w domu Boltonów ustawiła krzesła chippendale, a nie ludwiki, jak planowała. Miał rację. A kiedy usiłowała wytłumaczyć malarzowi, o jaki odcień morskiej zieleni chodzi jej w przypadku pewnego apartamentu nad Tamizą, James sięgnął po pędzel i zmieszał błękit z żółcią tworząc idealny, naprawdę idealny odcień.

Był także ekspertem, jeśli chodzi o meble, obrazy i porcelanę. - „Sotheby's” to doskonała szkoła - odparł, gdy zapytała złośliwie, gdzie zdobył tak dogłębną wiedzę w tej dziedzinie. Okazał się nieocenionym skarbem, jeśli chodzi o rozróżnianie fałszerstw od oryginałów. Oszczędził Harriet sporo pieniędzy, gdy udowodnił jej, że krzesła, zdaniem sprzedawcy oryginalne hepplewhite, to dwudziestowieczne podróbki.

- Zawsze zwracaj uwagę na łączenia - poradził. - W dawnych czasach robiono je ręcznie, nie znali dzisiejszych technologii. Zobacz, to krzesło toczono na tokarce... bardzo zrecznie, przyznaję, ale i tak... spójrz, o, tutaj. - Podał jej lupę i rzeczywiście, zaraz dostrzegła zdradzieckie rysy.

Dotykał porcelany i kryształów z czułością i zarazem zręcznością świadczącą o obeznaniu. Tak samo odnosił się do ludzi. Feministyczna surowość panny Judd zniknęła bez śladu w jego towarzystwie, Evelyn korzystała z każdej okazji, by zasięgnąć jego rady na każdy temat. Nawet Harriet musiała przyznać w duchu, że ich słowne utarczki sprawiają jej taką przyjemność, że choć to niewiarygodne, zapomina o Piersie, Pauli i nadchodzącym rozwodzie. Zamiast tego co rano głowiła się, co na siebie włożyć. Wszystko dlatego, że pewnego dnia, widząc ją w kostiumie od Donny Karan pokręcił głową i powiedział: - To nie twój kolor Harriet. - Po powrocie do domu kazała Annie, swojej gospodyni natychmiast zanieść go do sklepu używaną odzież.

- Nawet nie wiesz, jak mnie cieszy świadomość, że wróciłaś do dawnej formy - zachwycił się Piers. - Rejs zdziałał cuda.

Harriet wiedziała jednak, że nie rejs był tego przyczyną, lecz współzawodnictwo. Jak zwykle walka dodawała jej skrzydeł. James Alexander stanowił nie lada wyzwanie. W tym momencie uświadomiła sobie coś jeszcze: właśnie wyzwania od dawna jej brakowało.

Na przyjęcie u Sadie Harcourt-Smith szła bardzo ciekawa. Czy Jamesowi naprawdę udało się poskromić jej szalone zapędy? Dotychczas nie widziała efektów jego pracy, bo milionerka powiedziała jasno, że chce pracować z Jamesem.

- On doskonale wie, o co mi chodzi - oznajmiła stanowczo. - Zdaje się czytać w moich myślach.

Nic dziwnego, zważywszy, że myślisz tylko o jednym, skomentowała Harriet po cichu. Głośno zaś powiedziała:

- Pan Alexander dopilnuje wszystkiego z największą przyjemnością,

- Wiem o tym, droga panno Hilliard.

James towarzyszył jej do apartamentu na Eton Square. Piers nigdy nie chodził na przyjęcia w domach, które urządziła. Bardzo się bał o swoją reputację. Twierdził, że choć wszyscy wiedzą, iż jest jej partnerem w interesach, nie muszą od razu podejrzewać, że dzielą nie tylko portfel, lecz i łóżko.

James przyjechał po nią punktualnie o ósmej. Czarny krawat podkreślał jego urodę i męskość. Nie skomentowała

jego wyglądu, on jednak skorzystał z okazji, by powiedzieć jej komplement:

- Zapewne włożyłaś w przygotowania do dzisiejszego wieczoru wiele wysiłku, ale zapewniam cię, droga Harriet, że było warto. Wyjątkowo trafny odcień; podkreśla kolor twoich oczu. - Miała na sobie sukienkę autorstwa Jeana Muir, jej ulubionego projektanta. Przylegająca do ciała tam gdzie należy, była mimo to luźna i swobodna doskonale skrojona, miękka i powłóczysta. Matowy jedwab lśnił delikatnie w słabym świetle.

- Co za ulga - stwierdziła głosem tak ostrym, że mógłby się nim ogolić. - Kamień spadł mi z serca. Teraz będę mogła się dobrze bawić.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Jakby nie było, na ciebie spłynie cały splendor.

- Bardzo cierpisz z tego powodu?

- Cóż, zdarzało się bardziej, ale liczę, że pomożesz mi przetrwać najgorsze chwile.

Gospodyni chyba wyczekiwała ich, czy raczej jego, ze zniecierpliwieniem, bo podbiegła do nich, ledwie weszli. Na widok Jamesa tak się rozpromieniła, że Harriet pokręciła głową z niedowierzaniem. Co za szczywany lis! Więc to tak sobie z nią radzi! Jadła mu z ręki! Rozgniewało ją to. Nie tego się po nim spodziewała!

- James... i panna Hilliard. - Dla niej uśmiech o mocy zaledwie sześćdziesięciu watów. - Jak ładnie pani wygląda! Urlop znakomicie pani zrobił, a w dodatku sprawił, że poznałam Jamesa, za co jestem pani podwójnie wdzięczna. Doprawdy, przysłała go pani do mnie w chwili natchnienia!

Owszem, ale nie własnego, skomentowała Harriet w duszy.

- Zapraszam, proszę się rozejrzeć. - Sadie Harcourt-Smith zatoczyła łuk dłonią oślepiającą od biżuterii. - Ja tymczasem przedstawię Jamesa kilku znajomym.

Harriet zmrużyła oczy.

- Szykujesz grunt pod własną firmę? - zapytała szeptem.

- Obecnie poświęcam całą uwagę „Harriet Designs”, o czym się zresztą przekonasz, gdy zobaczysz apartament. Wypełniłem twoje instrukcje co do joty.

- Mam nadzieję.

- Nie kłamie - odparł głosem tak lodowatym, że zamroziłby ją na sopeł, gdyby Sadie nie odciągnęła go za ramię. - Proszę poczęstować się szampanem, moja droga - rzuciła na odchodnym.

Harriet witała się ze znajomymi, sączyła szampana, uśmiechała się sztucznie i lustrowała apartament.

Wszystko było tak, jak sobie to wymyśliła. Udało mu się okiełznać zamiłowanie Sadie do kiczu, przytłumić jej skłonność do tandety i wulgarności. Tylko gdzieś tam widniały ślady szczegółów, przy których, jak Harriet się domyślała, Sadie zapierała się wymanikiowanymi rękami i nogami. Na początku pracy nad projektem milionerka opisała łóżko swoich marzeń - w kształcie łabędzia, otulone bladoporóżowym szyfonem. Harriet walczyła z nią o to jak lwica. James tymczasem uległ, jeśli chodzi o kolor, nie był to jednak kiczowaty landrynkowy róż, tylko srebrzysty, zgaszony odcień, wyrafinowany i subtelny spowijał zaś łożo nie szyfon, lecz jedwab. I nie było mowy o łabędziu. Łoże stanowiło klasyczny przykład stylu empire: proste, zarazem eleganckie i wytworne, królujące pośrodku sypialni, gdzie James bardzo sprytnie je umieścił.

Gdzie on to wynalazł? - zastanawiała się Harriet, zżerana zazdrością. Na pewno wie coś, czy też raczej zna kogoś, kto sprowadza mu takie cudenka, bo ona ani razu nie znalazła czegoś równie imponującego. A przecież dobrze znała wszystkie antykwariaty, wszystkich dostawców... Stała u wezgowia, skryta przed oczami innych, chcąc dokładnie obejrzeć, jak są umocowane miękkie fałdy jedwabiu spowijające łożo, gdy wtem usłyszała pełen jadu głos:

- No, sama popatrz! A nie mówiłam? Widziałaś kiedy takie łożo? Sypiała w nim Paulina Bonaparte.

Kobięcy chichot.

- Myślisz, że Sadie chce mu dorównać... rozmiarem?

- I tak jest bez szans! Starsza od niego o dwadzieścia lat. Poza tym, obecnie damą jego serca jest Rina.

- Myślisz, że Sadie o tym wie?

- O Rinie? Moja droga, już Rina zadbała, żeby wiedzieli o tym wszyscy.

- Ale dziś z nim nie przyszła.

- Nie, jest z nim ta projektantka wewnątrz, którą zatrudnia Sadie. Jakże jej... Harriet Hilliard? To ona wszystko wymyśliła. Wiesz, James ją zastępował, gdy wyjechała na sześć tygodni, na rejs statkiem. Oficjalnie nazywa się to przepracowaniem, ale moim zdaniem to klasyczny przykład frustracji.

- Frustracji? Z jakiego powodu?

- To dla niej Piers Cayzer chce się rozwieść z Paulą.

- Nie! Naprawdę? Nic o tym nie wiem!

- To tajemnica, ale wiem to z pewnego źródła.

- Cóż, pewnie jest całkowitym przeciwieństwem Pauli, za którą, zerze mówiąc, nie przepadam. Słyszałam, że trzyma męża za gar- żelazną pięścią i biedaczek żadnym sposobem nie może się wyzwolić.

- Och, tak jest od lat, i nie puści go z własnej woli, najpierw czeka go ostra walka. Nic dziwnego, że ta Hilliard miała załamanie nerwowe. No wiesz, tak blisko, a jednak tak daleko od celu... Tyle kasy w ślicznych dłoniach Pauli.

- Sadie też do ubogich nie należy. Przyda jej się coś, co zatrzyma przy niej Jamesa Alexandra. Przecież sznur jego wielbicielki ciągnie się w nieskończoność.

- Cóż, moja droga, o ile pamiętam, i ty chciałaś wskoczyć mu do łóżka.

- Dopiero gdy ty z niego wypadłaś, kochanie.

Jeszcze chwila, a skoczą sobie do gardeł, pomyślała Harriet.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Teraz ma go Rina i niech Bóg ma w opiece każdego, kto zechce z nią o niego walczyć.

- Więc dlaczego przyszedł z tą projektantką?

- Pracują razem. Ona poluje na Piersa Cayzera i jego miliony.

- Przecież na pewno zarabia majątek, urządzając takie wnętrza!

- To prawda, ale to i tak nic w porównaniu z dochodami faceta, który ma własny bank... - Zachichotały i oddaliły się powoli.

Harriet zorientowała się, że zaciska dłonie tak mocno, aż pobiełały. Puściła tkaninę i jakaś część jej umysłu zakodowała, że się nie pognotła. Dobra robota, pochwaliła automatycznie. Nie mogła się pogodzić z tym, co usłyszała. Ona jako łowczyni majątków! Przecież oddała Piersowi wszystko, co od niego pożyczyła, co do grosza! Co więcej, odszedł od Pauli, zanim związał się z nią, o propozycji małżeństwa nie wspominając. To tyle, jeśli chodzi o unikanie plotek, kochany Piersie. I tak jest tajemnicą poliszynela, że jesteście parą, choć przypisywane nam powody są znacznie gorsze od prawdziwych.

Poczuła się zbrukana, choć przecież nie od dziś знаła towarzystwo uczęszczające na tego typu przyjęcia. Wzyscy zawsze czyhali na co smakowitsze plotki, chcieli jedynie obgadywać innych, rozkoszować się czymś niepowodzeniem. Jak James Alexander i jego Rina, kimkolwiek jest. Świadomość, że i o niej się mówi, wypełniła jej usta goryczą; najchętniej wyplukałaby je czymś orzeźwiającym. W pierwszej chwili chciała pobiec za dwoma plotkarkami i nagadać im do słuchu, ale dolałoby to tylko oliwy do ognia, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała w tym horrendalnie drogim apartamencie, był skandal towarzyski. Im więcej jednak o tym myślała, tym bardziej była zła. Na pewno nie jest taka, jaką ją przedstawiły. Zawsze chciałam od Piersa jedynie wsparcia finansowego i spłacałam dług co do grosza.

Finansowy - owszem - podszeptał demon. Stała bez ruchu, zdumiona i zła, słysząc jednak zbliżające się głosy, czmychnęła do łazienki. Była obszerna i luksusowa, z wanną wpuszczoną w podłogę, jak sobie tego życzyła Sadie, i szezlongiem, który milionerka wypatrzyła w jakiejś hollywoodzkiej superprodukcji. O ile jednak James uległ jej, jeśli chodzi o przedmioty - a Harriet usiłowała wybić jej z głowy i wpuszczaną wannę, i szezlong - powstrzymał jej zapędy, jeśli chodzi o kolory i styl. Harriet zamknęła drzwi, usiadła i usiłowała wziąć się w garść.

A zatem jej sześciotygodniowa nieobecność była spowodowana złością, że jeszcze nie jest panią Piersową Cayzer, tak? A niech je piekło pochłonie! Harriet nie była pruderyjna, ale świadomość, że obgadywano ją i zaliczano do tej samej kategorii kobiet co Rinę, kimkolwiek ta baba jest, doprowadzała ją do szału. Jak ją nazwały? Kochanka przejściowa? Co za bezczelność! Jak śmiały zaliczyć Piersa i ją do tej samej grupy! Biedak na pewno się załamie. Nie, nie powie mu o tym. Im mniej wie, tym lepiej.

Nie podobało jej się, że jest tematem plotek. Nie wiadomo dlaczego jej spokojne, ułożone życie zatrzęsło się w posadach. Odpowiedzialnością za to obarczyła nie kogo innego, tylko Jamesa Alexandra. To on wszystko zaczął! Odkąd wkroczył na scenę, jej świat wali się w gruzy. Boże, dlaczego Piers w ogóle sobie o nim przypomniał? Jak bezczelnie manipuluje biedną Sadie Harcourt-Smith, że już nie wspomni jego aroganckiego zachowania wobec niej, Harriet! Powinien zająć się swoimi sprawami, choćby tą całą Rina. To imię brzmiało znajomo, jednak nie kojarzyła z nim żadnej twarzy... Ależ owszem! Twarz! Chyba właśnie ona zdobyła tytuł „Twarzy Roku”. Rina Cunningham, top modelka. Dziewczyna Miesiąca, choć jeszcze nie obnażyła swoich wdzięków w żadnym magazynie dla panów. Jej ciało było równie znane jak twarz. Nic dziwnego, że dwie plotkujące harpie współczuły Sadie Harcourt-Smith. Nie ma najmniejszej szansy wobec Riny Cunningham. Nikt nie ma.

Harriet przypomniała sobie okładkę VOGUE sprzed miesiąca czy dwóch. Rina w centrum fantazji Versace, w obłoku organidyny różowej jak skrzydła flamingów i szarej jak deszczowe chmury. Włosy barwy jesiennych liści otaczały płomieniem bladą twarz, rozjaśnioną szmaragdowym błyskiem oczu. Jej uroda zapierała dech w piersiach. Biedna Sadie, jeśli James gustuje w takich kobietach. Harriet zrobiło się słabo na myśl, że można się w nim zakochać.

W tej chwili usłyszała za drzwiami jego głos:

- Nie widzieliście Harriet? Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

I nie znajdziesz, pomyślała złośliwie. Poczekała jeszcze pięć minut, po czym wyruszyła na poszukiwanie gospodyni. Znalazła ją w środku kółeczka wielbicieli. Jamesa, na szczęście, tam nie było co najwyraźniej nie przypadało Sadie do gustu, bo na bladej uśmiech Harriet odpowiedziała równie ponurym grymasem. Harriet odezwała się pierwsza:

- Widziałam dosyć, by wiedzieć, że niepotrzebnie się martwiłam. Jest wspaniale.

- Prawda? James jest wspaniałym... dekoratorem, podobnie jak pani, ma się rozumieć - dodała w ostatniej chwili.

- Jeśli jest pani zadowolona...

- Och, dom jest wspaniały... James to wielki skarb, panno Hilliard. Na pani miejscu trzymałabym go pod kluczem.

Tak, ma cię w garści, zachnęła się w myśli Harriet. Zatrzymać go? Za żadne skarby świata. Zdenerwowana do tego stopnia, że drżały jej ręce, poszła do holu po swój czarny aksamitny płaszcz. Tam natknęła się na jedyne niespełnione marzenie Sadie Harcourt-Smith.

- Tu jesteś! Szukałem cię wszędzie, chciałem już zaglądać pod łóżko.

- Dobrze, że nie do łóżek - odcięła się. - Wychodzę. Zobaczyłam to, co chciałam. Nie, nie musisz mnie odwozić.

Wezmę taksówkę. Aha - odwróciła się do niego - przy okazji, wyrazy uznania. Piątka z plusem.

Dostrzegła błysk w atramentowych oczach, ale zanim zdążył odpowiedzieć, wcisnęła się między nich pulchna brunetka.

- James, mój drogi, chyba jeszcze nie wychodzisz! Noc jeszcze młoda!

Czego o tobie powiedzieć nie można, skomentowała Harriet w myśli. Rozpoznała po głosie jedną z plotkarskich harpii.

- Porozmawiajmy... Nie widziałam cię od wieków...

James jednak stanowczo zdjął ze swego ramienia starannie wymanikiowaną dłoń.

- Wybacz - odparł grzecznie - ale nauczono mnie, żeby odprowadzać do domu damę, z którą się spędziło wieczór.

Brunetka obrzuciła Harriet wrogim spojrzeniem.

- Odkąd to uciekasz tak wcześnie, James?

- Zawsze, ilekroć pracuję.

Sądząc po błysku oczu, można się spodziewać jadowitej uwagi, pomyślała Harriet. I nie pomyliła się:

- Od kiedy nazywasz to pracą?

- Pracę zawsze nazywam pracą - James zmroził ją lodowatym głosem.

- Więc nie zawracam ci dłuższej głowy. - I dodała z jadem w głosie - Rina nigdy w to nie uwierzy.

- Rina nie wierzy w nic, czego nie zobaczy na własne oczy - poinformował ją James radośnie. - Gotowa, Harriet?

Gdy jechali na dół windą, stwierdził:

- Wiesz, ona właściwie miała rację, jest dość wcześnie. Może chciałabyś wpaść gdzieś na drinka?

- Nie, dziękuję.

- Ach, zapomniałem. Piers zadzwoni do ciebie o wpół do dziesiątej, jak zwykle.

Czy jest coś, czego ci nie powiedział, do diabła? - piekliła się Harriet w głębi duszy.

- Czy mogłabyś mi przekazać ostatecznie nowiny z frontu? - zapytał zniecierpliwiony, już w samochodzie. - Jak tam wojna Piersa z Paulą?

- Jako że przyczyniłeś się znacznie do rozpoczęcia działań wojennych, podejrzewam, że twój wywiad działa bez zarzutu i masz wiadomości z pierwszej ręki.

- Czyżbym słyszał dezaprobatę w twoim głosie?

- Wolę, kiedy rzeczy dotyczące mojego życia ustala się ze mną osobiście.

- Ach... innymi słowy, powinienem był zostawić biednego Piersa samemu sobie.

- Nie wiedziałam, że jest w niebezpieczeństwie. Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Harriet, podobasz mi się. Gdyby ci naprawdę zależało na Piersie, gdybyś włożyła w wasz związek jedną dziesiątą tego, co angażujesz w „Harriet Designs”, od lat byłibyście małżeństwem i Paula nie bałaby tu nic do gadania.

- Ustaliliśmy z Piersem, że nie będę się wtrącała. To sprawa między nimi, nie moja.

Zwinna była ugryźć się w język, gdyż odparł kpiąco:

- Szkoda, droga Harriet. Wielka szkoda. - Po chwili dodał z namysłem: - Wiesz, jak na kobietę, która wspięła się na szczyt, dziwne, że pozwalasz Piersowi drążyć łyżeczką tunel w skale Gibraltaru. Taka fenomenalna cierpliwość do ciebie nie pasuje.

- Twoje zdanie niewiele mnie obchodzi, nie pojmuję też, czemu zawracasz sobie głowę moimi sprawami.

- Sprawami, Harriet?

Jęknęła ze złości.

- Wiesz doskonale, co mam na myśli. Zrozum, że moje sprawy są tylko moje.

- Och, zrozumiałem bardzo wiele, nie wykluczając tego, że jesteś zupełnie inna, niż sądzi Piers.

Po raz pierwszy w życiu Harriet nie wiedziała, co powiedzieć

- Właściwie - ciągnął James - jesteś oszustką.

Zamieniła się w słup soli. Jakim cudem tak szybko zauważył coś z czego ona dopiero niedawno zdała sobie sprawę? Na szczęście samochód zwolnił, bo dojeżdżali do jej domu. Szarpnęła za klamkę chcąc jak najszybciej uciec. Niestety, drzwiczki ani drgnęły.

- Zamknięte automatycznie - oznajmił James lakonicznie. - Chyba nie spodziewałaś się niczego innego, znając moją reputację?

Harriet z trudem odzyskała głos.

- Niczego się po tobie nie spodziewałam.

- Wiem. I to mnie intryguje.

- Bądź łaskaw otworzyć drzwi.

- Za chwilę. - Westchnął głośno. - Rozczarowałaś mnie, Harriet. Po raz pierwszy. Pamiętam, jak powiedziałaś, że przedkładaś fakty nad fikcję, a tymczasem okazuje się, że wierzysz w swoje bajeczki. - Kolejne długie, smutne westchnienie. - A może to po prostu za wcześnie...

Cichy trzask i drzwi ustąpiły. Harriet niemal wypadła, z takim impetem pociągnęła za klamkę. Wysiadła, zanim zdążył przytrzymać jej drzwiczki. W głowie miała jedno - ucieczkę, ale zdobyła się jeszcze na kąśliwą uwagę:

- Jeśli chodzi o ciebie, i tak jest za późno.



Nie życzyła mu dobrej nocy; sposób, w jaki trzasnęła drzwiami samochodu, dobitnie wyrażał jej uczucia, podobnie jak sztywno wyprostowane plecy i energiczny zamaszysty krok. Z trudem doszła do drzwi, gdzie po długich staraniach udało jej się trafić kluczem w dziurkę. Ledwie znalazła się w domu, ugięły się pod nią nogi. Trzęsła się jak galareta. Skąd on wiedział? Czym się zdradziła? Panicznie szukała w pamięci zdradzieckich słów, niewłaściwego zachowania, ale nie zauważyła niczego, co pozwoliłoby mu dostrzec prawdę, którą tak starannie ukrywała nawet przed sobą. Piers nie mógł mu powiedzieć bo sam nie miał o niczym pojęcia. Więc jakim cudem, do licha, James Alexander zorientował się, iż poślubienie Piersa to ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę? Że, jak to ujął, jest oszustką? Co sprawiło, że tak szybko odkrył coś czego ona nie widziała przez całe lata?

Jest jeszcze bardziej niebezpieczny, niż sądziła. Dzięki Bogu, że wkrótce pójdzie własną drogą. Im szybciej zniknie z jej życia, tym lepiej.

#### 4

Tej nocy, a raczej wczesnym rankiem, Harriet pojechała do domu.

Zanim Piers zadzwonił, punktualnie o wpół do dziesiątej, miała już gotową historyjkę: jedzie na wieś spotkać się z potencjalnym klientem. To nowo poznany człowiek, tłumaczyła, poznała go na przyjęciu, i dlatego musi kuć żelazo póki gorące. Przyjął tę bajeczkę bez najmniejszych podejrzeń, tak jak przypuszczała. Okłamała dotąd Piersa tylko raz: na samym początku ich romansu, gdy pytał ją o krewnych, powiedziała, że jej rodzice nie żyją i że jest sama jak palec. Nie wiedział więc, że oprócz mieszkania przy Pont Street ma jeszcze inny dom, dom, w którym przyszła na świat i do którego teraz uciekała. Od paru miesięcy stał pusty.

O szóstej rano wsiadła do błękitnego volvo turbo estate - dużego samochodu, w którym swobodnie mieściły się rysunki, próbki materiałów, co mniejsze meble, obrazy i lampy - i wjechała na autostradę M1. Czekają ją kilka godzin jazdy. Wkrótce zaczęło padać, jakby pogoda dostosowała się do jej nastroju. Humor Harriet pogarszał się minuty na minutę; to, przed czym ucieka, i tak ją dopadnie, nigdzie się nie schowa. Tym niemniej instynkt nakazywał się ukryć, a jedynym miejscem, które przychodziło jej na myśl, był dom, który opuściła w wieku osiemnastu lat, wybierając się do Goldsmiths College.

Kilka minut po ósmej skręciła w wąski zaułek. Doskonale pamiętała te niewielkie domki z czerwonej cegły, każdy o trzech sypialniach, jeszcze przedwojenne. Wszystkie zdawały się jeszcze pogrążone we śnie za opuszczonymi zasłonami, zwłaszcza dom jej matki. Ojciec nie żył, a matka od trzech miesięcy przebywała w zakładzie dla alkoholików.

Otworzyła drzwi, weszła do wąskiego przedpokoju. Poczowała znajomy zapach wosku do polerowania mebli i stęchłe powietrze domu, którego dawno nie wietrzono, i ogarnęła ją ulga. Tutaj jest bezpieczna; przecież nikt nie wie o istnieniu tego domu.

Nagle ogarnęło ją zmęczenie: przecież tej nocy nie zmrużyła oka. Instynktownie poszła do pokoju, w którym dawniej mieszkała, na metrze, z oknami wychodzącymi na ogród. Matka nic w nim nie zmieniła. Rzuciła się na łóżko i zasnęła niemal natychmiast.

Obudził ją klakson. Gdy spojrzała na zegarek, zobaczyła, że już druga. Była spokojniejsza, poczucie zagrożenia rozwiało się bez śladu. Usiadła na łóżku. Jej kostium był doszczętnie pognieciony, ale zamiast wstać i zdjąć go, opadła z powrotem na posłanie i rozejrzała się po pokoju, w którym spędziła pierwsze osiemnaście lat swojego życia.

Ściany pokrywała tapeta w drobne kwiatki, w oknach wisiały zasłony w identyczny kwiatowy wzór, łóżko przykrywała taka sama kapa. Matka się zachnęła, gdy w swoim czasie wspomniła, że tak właśnie chce urządzić swój pokój. - Taka sama kapa i zasłony? - przypomniała sobie jej krzyk. - Pokój będzie strasznie monotony! Lepsza by była gładka bawełna w jednym z kolorów tapety. A do tego jeszcze malowane meble... I to białe! - Zdaniem pani Hilliard, dobry, solidny mahoń albo orzech byłyby lepszym rozwiązaniem. Harriet jednak postawiła na swoim. Kupiła zgrabne brzozowe mebelki, własnoręcznie je zabejcowowała i ozdobiła błękitnym szlaczkiem, sama też uszyła narzutę i zasłony na starym Singerze matki. Leżała teraz, wpatrywała się w sufit i wspominała, jak matka krzywiła się, widząc coraz większe zmiany w pokoju córki. Nie mogła jednak zaprotestować, bo Harriet płaciła za wszystko z własnych pieniędzy, zarabianych w soboty w sklepie „Marks & Spencer”.

Czuła, że nie udźwignie tego dnia. Pomyślała jednak, że wypadłoby zadzwonić do Ośrodka i zapytać, czy mogłaby odwiedzić matkę. Zebrała się w sobie, wstała, poszła do łazienki, włączyła termę. Dopiero potem wyjęła z teczki telefon komórkowy i zadzwoniła. Tak, mama jest w formie, może ją odwiedzić. O czwartej będzie w sam raz. Wróciła na górę, zdjęła kostium i powiesiła na drzwiach łazienki w nadziei, że gorąco i wilgoć wygładzą przynajmniej niektóre zgniecenia. Założyła stary szlafrok - matka nie wyrzuciła żadnych ubrań - i zeszła do kuchni, gdzie nastawiła wodę na herbatę i zajęła się poszukiwaniem jedzenia. Znalazła paczkę chrupkiego pieczywa, pudełko margaryny i karton odtłuszczonego mleka, które matka trzymała na wypadek jej wizyty. Po chwili odkryła także słoik marmolady. Zaparzyła sobie herbaty i usiadła przy kuchennym stole. Z apetytem zajadała pieczywo z dżemem, przeglądając korespondencję z ostatnich tygodni. Były to głównie reklamy - sąsiadka, pani McBride, przesyłała wszelkie ważne listy i rachunki. Poza tym, za niewielką sumę, miała oko na dom.

Kiedy zjadła i pozmywała, woda była już na tyle gorąca, że mogła się wykąpać. Najpierw jednak przepłukała

swoją bieliznę i rozwiesiła w nadziei, że szybko przeschnie. Dołała sobie do wanny sporą porcję lawendowego olejku do kąpieli, który kiedyś, pod wpływem impulsu, podarowała matce na Gwiazdkę. Okazały flakon nadal stał na brzegu wanny - matka nie zabrała go ze sobą do zakładu. Zapewne stwierdziła, jak zwykle: - Przez całe życie wystarczało mi zwykłe mydło i teraz też wystarczy.

Była gotowa do wyjścia o wpół do czwartej, ponieważ jednak miała przed sobą nie więcej niż dwadzieścia minut jazdy, zatrzymała się jeszcze przy stacji benzynowej. Kupiła bukiet kwiatów i pudełko chałwy - matka zawsze przepadała za słodyczami.

Ośrodek, niegdyś rezydencja bogatego przemysłowca, zajmował rozległy, znakomicie utrzymany teren ze sztucznym jeziorkiem. Matka Harriet miała pokój na parterze z pięknym widokiem na ogród. Personel był doskonale przeszkolony i troskliwy. Standard zakładu odzwierciedlały wysokie ceny, ale, stwierdziła Harriet autoironicznie - w końcu mnie na to stać. Pielęgniarka w recepcji rozpoznała ją i przywitała serdecznie.

- Jak się miewa mama? - zapytała Harriet.

- Cóż, różnie... Niestety, ostatnio musimy jej ciągle pilnować, bo przejawia niewiarygodną wręcz pomysłowość w zdobywaniu wysokoprocentowego alkoholu. Nie wolno jej dawać pieniędzy. Przekupywała pracowników, żeby jej przemycali alkohol. Tak więc, panno Hilliard, jeśli chce pani zostawić dla niej jakieś pieniądze, proszę to zrobić w biurze, dostanie pani potwierdzenie wpłaty. Za to bardzo się ucieszy z czekoladek. Przepada za nimi. Czy mogłaby pani chwile poczekać? U mamy jest akurat lekarz. Może napije się pani herbaty?

Harriet popijała aromatyczny napój i przeglądała „Tatlera”, ulubiony magazyn matki, bo były w nim plotki o ludziach, którym jej córka urządziła domy. Niemal natychmiast natknęła się na zdjęcie Jamesa Alexandra z Riną Cunningham uwieszoną u jego ramienia. Wyglądała fantastycznie w czerni, przy jej białej cerze i płomiennych włosach. Podpis pod zdjęciem głosił: „James Alexander i Rina Cunningham bawią się doskonale na balu w Docklands. Ich przyjaciele twierdzą, że lada dzień możemy się spodziewać oficjalnych zaręczyn. Poprzednim mężem Riny był Mark Terson, kierowca rajdowy”.

Harriet wpatrywała się w kocią twarz o szmaragdowych oczach i kuszących, zmysłowych ustach, i pomyślała: ta zapewne może przebierać w wielbicielach jak w ulęgałkach. Co powinno ci przypomnieć, Harriet, o twoim problemie: co z wielbicielem, który chce cię poślubić?

Odłożyła gazetę i wpatrzyła się w dal, ale nie widziała żadnego wyjścia z obecnej sytuacji. Wszystko sprowadza się do tego, że James Alexander wyczuł - jak, głowiła się ciągle, radarem czy co? - że nie chce poślubić Piersa. W ogóle nie chce wychodzić za mąż, koniec, kropka. Niestety, złożyła obietnicę, a dla Harriet obietnica to było coś, czego się dotrzymuje, bez względu na cenę.

A ceną będzie w tym wypadku wszystko co mam, stwierdziła z goryczą. Co gorsza, zrobię to, przed czym matka ostrzegała mnie przez całe życie: wstąpię w - jak się wyrażała - przeklęty związek małżeński. Pielęgniarka wróciła.

- Pani matka już czeka. - Zaprowadziła Harriet do pokoju pani Hilliard i otworzyła drzwi z szerokim uśmiechem: - Proszę zobaczyć, kto do pani przyjechał. Aż z Londynu!

Matka siedziała w fotelu przy oknie. Odwróciła głowę powoli, aż Harriet zrobiło się przykro.

- To ty, Harriet? - wymówiła mętnie. - Co robisz w domu o tej porze? Powinnaś być w szkole.

Pielęgniarka pokręciła głową.

- Mówiłam. Zaraz po pani telefonie miała wpadkę. Niestety, jeszcze nie całkiem wróciła do siebie.

Innymi słowy, jest dalej pijana, stwierdziła Harriet ze stoickim spokojem.

- Jak się masz, mamó? - odezwała się pogodnie, pochylając się nad matką. Poczwała zapach mydła i pudru, przede wszystkim jednak smród alkoholu.

- Muszę się napić - jęknęła pani Hilliard. - Przynieś mi butelkę dobrze? Mam pieniądze... wiesz, córka mi je przysyła. Bardzo dobre dziecko z mojej Harriet. - W jej oczach zalśniły łzy. - Ona przyniosłaby mi coś do picia...

Harriet rzuciła szybkie spojrzenie na pielęgniarkę.

- Przecież pani wie, że nie wolno pani pić alkoholu, pani Hilliard. Jest niezdrowy.

- A skąd pani może wiedzieć, co jest dla mnie zdrowe, a co nie? - matka przybrała swój zwykły ton starej królowej.

- Zobacz, przywiozłam ci chałwę w czekoladzie, twoją ulubioną - rzuciła szybko Harriet.

Arogancja błyskawicznie przeszła w łakomstwo. Pani Hilliard łapczywie złapała pudełko, zerwała celofanowe opakowanie i włożyła czekoladkę do ust.

- Mmmm... pycha... - Uśmiechnęła się do córki. - Jak to miło z twojej strony. Moja córka powiedziała ci, że bardzo lubię chałwę? Wiesz, ona mi zawsze kupuje...

Harriet ponownie poszukała wzroku pielęgniarki.

- Czasami ma takie ataki - wyjaśniła siostra szeptem. - Pamięć jej ucieka i nagle wraca. - Skinęła zachęcająco głową i wyszła.

- Moja córka to kobieta sukcesu, wiesz? - pani Hilliard już wybierała następną czekoladkę. - Jest dekoratorką wnętrz... nie, projektantką, tak to się teraz nazywa. Ma własną firmę i zarabia bardzo dużo pieniędzy. Wychowałam ją na osobę niezależną. Zawsze jej powtarzałam: nigdy na nikim nie polegaj. Ludzie sprawia ci zawód. I nigdy, przenigdy, nie wychodź za mąż, bo obudzisz się w pułapce bez wyjścia, jak ja. - Kolejna czekoladka powędrowała

do ust. - Wiesz, wszyscy sławni i bogaci chcą, żeby urzędowała im domy. Odniosła wielki sukces. - I wszystko zawdzięcza jedynie sobie. Nikt jej nie pomagał, absolutnie nikt, bo w kółko jej powtarzałam: nikt nie pomaga ci z dobrego serca, tylko ma w tym swój interes. Ja nie osiągnęłam tego, co chciałam, bo nie miałam wykształcenia, pieniędzy, byłam bez wyjścia. Wyszłam za męża, kiedy miałam dziewiętnaście lat, a zanim skończyłam dwadzieścia urodziłam Harriet i byłam jego więźniem. Mogłam tylko cierpieć. Moja Harriet to mądra dziewczyna. Zawsze miała najlepsze stopnie w klasie. Zajdź daleko, tak powiedziała jej wychowawczyni. Cieszę się, że miała ambicję i talent. - I znowu łyż nad sobą: - Ja miałam tylko marzenia...

- Może chcesz pójść na spacer? - zaproponowała Harriet. Odwieczna litania matki wcale nie poprawiała jej humoru. - Na dworze jest dziś pięknie. Nakarmimy kaczki...

Matka energicznie pokiwała głową.

- Dobrze, ale nie dajmy im moich czekoladek. Muszą się zadowolić chlebem.

Pani Hilliard pozwoliła się ubrać w nowy płaszcz, zeszloroczny prezent od Harriet, upierając się jednak przy starym kapeluszu, pasującym jej zdaniem. Nadal zachowywała się jak stara królowa. Dzień był naprawdę piękny: w ogrodzie zakwitły dzwoneczki, odcinające się błękitem od zielonego trawnika, a słońce wypełniało ogród przyjemnym ciepłem. Zabrały z kuchni torbę okruszków i poszły nad staw. Pani Hilliard wspierała się na ramieniu córki - nie ufała własnym nogom. Ilekroć kogoś mijaly - lekarzy, pielęgniarki, innych pacjentów - matka dumnie kiwała głową i oznajmiała: - Oto moja córka Harriet, z Londynu. Harriet Hilliard, znana projektantka wnętrz.

Równie majestatycznie karmiła łabędzie. Gdy skończyły się okruszki, poinformowała je wyniosłym tonem, że powinny zająć się swoimi sprawami.

- Zupełnie jak niektórzy ludzie - zauważyła ponuro. - Domagają się wszystkiego, co masz. Mam nadzieję, że traktujesz ich odpowiednio surowo. Tacy zawsze kręcą się koło ludzi sukcesu. Gdzie moje czekoladki?

- Tutaj.

- Chciałabym usiąść na tej ławeczce. Czy aby na pewno jest czysta?

Pani Hilliard zawsze miała obsesję na punkcie czystości: był to jeden z niezliczonych punktów zapalnych w kłótniach z mężem. Jego zdaniem żona przesadzała w zamiłowaniu do pucowania i prania. Harriet wytarła ławkę chusteczką, ale matka i tak przyjrzała się jej uważnie, zanim zdecydowała się usiąść. W końcu przycupnęła, zjadła czekoladkę i zapadła w drzemkę.

Widząc, że czekoladki zaraz zsuną się z jej kolan na ziemię, Harriet chciała je przytrzymać. Matka natychmiast się obudziła.

- O, nie! - krzyknęła ostro. - O, Harriet! - zmieniła nagle ton. - Nie powiedzieli mi, że przyjechałaś. Jak to miło z twojej strony. Przywiozłaś mi coś do picia? - szepnęła konspiracyjnie. - Nie pozwalają mi na to. - Żałosne pociągnięcie nosem. - W tym miejscu na nic nie pozwalają. - Przebiegły uśmiech. - Na szczęście ma się swoje sposoby... - Mrugnięcie okiem. - O tak... nauczyłam się sobie radzić za jego życia. On też nie pozwalał mi się napić. Ale wiedziałam, jak to przed nim ukryć. Nigdy mi na nic nie pozwalał. - Ze złością, mściwie: - Miał atak serca, wiesz?

- Tak, wiem.

- Skąd? Byłaś na pogrzebie?

Więc znowu nie kojarzy. Świadomość matki była jak jo-jo, poławiała się i znikwała nie wiadomo kiedy.

- Tak, byłam.

- Podobało mi się na pogrzebie. O wiele bardziej niż na ślubie. Wiesz, wtedy nie miałam pojęcia, w co się pakuję. - Naburmuszyła się. - Mam nadzieję, że nie masz męża?

- Nie.

Pani Hilliard z aprobatą skinęła głową.

- To dobrze. Rozsądna z ciebie dziewczyna. Moja Harriet też nie wyszła z męża. Ostrzegłam ją przed tym. To pułapka. Kiedy mężczyzna cię złapie, nie pozwoli ci odejść. Małżeństwo i miłość to dożywocie, ot co. Uczucia zniewalają. I nie ma szans na przekupienie strażnika, przynajmniej takiego jak mój. Nie żebym kiedykolwiek miała pieniądze, przecież nic mi nie dawał. Taki skąpiec! A ja miałam tylko urodę. Właśnie dlatego się ze mną ożenił, bo byłam ładna. - Otworzyła torebkę z krokodylej skóry, gwiazdkowy prezent od Harriet, i wyjęła małe lustro. - A teraz - popatrz na mnie. Ta więzienna bladeść. - Schowała lustro, zamknęła torebkę. - Ale za to on nie żyje, a ja jestem wolna. - Sięgnęła po czekoladkę. - Chyba jeszcze trochę tu zostanę. Jedzenie jest niezłe, a każde miejsce jest lepsze niż dom, bo to każdy kąć nim cuchnie. Zresztą tutaj, jeśli mam szczęście, też mogę się napić.

- Jak? - zapytała Harriet najbardziej nonszalancko, jak mogła.

Matka uśmiechnęła się przebiegle.

- Cóż... - zaczęła, ale urwała, bo mijali je pacjent i pielęgniarka. - Szpiedzy - szepnęła. - Tu nikomu nie można ufać, ale mam wprawę utrzymywaniu sekretów. Przed nim też trzymałam sekret. Całymi latami oszczędzałam z tej odrobiny, jaką mi dawał, żeby pomóc mojej Harriet pójść na studia i zdobyć to, czego ja nie mogłam. Żeby była niezależna, żeby nie stała się niewolnicą mężczyzny. Teraz jest bogata i sławna, i w kółko powtarzałam, że ma do tego dążyć. Nie bądź taka jak ja, Harriet, mówiłam. Bądź wolna. Małżeństwo to pułapka wymyślona przez mężczyzn dla ich wygody. Miłość? - syknęła jadowicie - To kłamstwo, błaga, potworna bujda. Zanim mogłam

zrozumieć czym naprawdę jest miłość, byłam już jego żoną, a on nie miał o miłości najmniejszego pojęcia. Nie skończyłam jeszcze dwudziestu lat kiedy na świat przyszła Harriet i stała się moim oczkiem w głowie. Na pewno słyszałaś o mojej Harriet. Harriet Hilliard, projektantka wnętrz.

- Tak, słyszałam o niej.

- Jest dla mnie bardzo dobra. Kupiła mi ten płaszcz, kapelusz i torebkę, zabrała mnie z tamtego okropnego domu i przywiozła tutaj, gdzie nikt go nie zna i nic mi o nim nie przypomina. - Opuściła wzrok na czekoladki. - I przywiozła mi chałwę. Wie, że za nią przepadam.

- Czy chciałabyś, żeby przywiozła coś jeszcze?

- Tak. Butelkę whisky.

- Przykro mi, ale to zabronione.

Ładna niegdyś twarz pani Hilliard zmarszczyła się smutno.

- Ale ja muszę się napić... za jego życia tylko to trzymało mnie przy zdrowych zmysłach. Tylko dzięki temu mogłam znieść, że mnie dotyka, zanim, Bogu niech będą dzięki, stracił na to ochotę.

Harriet rozpoznała stare symptomy. Spróbowała skierować uwagę matki na inne tory:

- Może już wrócimy? Zdaje się, że na podwieczorek będą ciasteczka czekoladowe.

Pani Hilliard zerwała się błyskawicznie.

- No to wracajmy, bo nic dla nas nie zostanie. Mieszkają tu takie łakomczuchy...

Harriet wypija filiżankę herbaty, a jej matka pochłonęła kilkanaście ciasteczek i pół rolady czekoladowej. Nie przerywała przy tym swojej odwiecznej mantry: jak bardzo się starała wychować córkę w odpowiedni sposób.

Obejmując ją na pożegnanie, Harriet poczuła, jak jest chuda. Nie żeby kiedykolwiek była gruba: Harriet po niej odziedziczyła drobne kości. Teraz jednak w ciele matki wyczuwała jedynie owe kości. Jej twarz, niegdyś śliczna podobnie jak twarz Harriet, była pomarszczona i ściągnięta, lecz jasne włosy, teraz raczej siwe niż blond, nadal czesała jak królowa.

Znowu rozpoznała córkę i powiedziała energicznie:

- Wracaj do Londynu i dalej rób karierę. A o mnie się nie martw. Dobrze mi tutaj. Wszędzie lepiej niż w tamtym domu. Odnieś jeszcze więcej sukcesów, tak żebym była z ciebie jeszcze bardziej dumna, ale nadal rób to sama, własnymi siłami. Nie poświęcaj ani siebie, ani kariery dla mężczyzny czy tak zwanej miłości. To kłamstwa. Powiedzą ci wszystko, byle dostać, czego pragną. Nie ufaj nikomu i polegaj tylko na sobie. Wtedy cię nie dopadną.

- Kiwając głową jak chiński mandaryn pochyliła się nad czekoladkami.

Harriet miała już wychodzić, ale doktor Wilson lekarz matki, chciał z nią jeszcze porozmawiać.

- Mam dwie wiadomości - usłyszała, gdy usiadła naprzeciw niego - dobrą i złą. Od której zaczniemy?

- Od złej.

- No, dobrze. Niestety, od następnego kwartału jesteśmy zmuszeni podnieść ceny. - Podał, o jaką kwotę chodzi, i Harriet obliczyła pospiesznie, że będzie ją to kosztowało dodatkowe tysiąc funtów rocznie. Na szczęście mnie na to stać, pomyślała z ironią.

- A dobra wiadomość? - zapytała.

- Pani matka czuje się dobrze, biorąc pod uwagę, w jakim stanie do nas trafiła. Nadal nie da się przewidzieć, kiedy nastąpi pogorszenie, ale to skutek zaawansowanej arteriosklerozy; choroba przyczynia się do luk w pamięci w takim samym stopniu, co lata alkoholizmu. Jej mózg nie jest należycie ukrwiony, stąd niektóre jego części funkcjonują nie tak jak należy. I dlatego tak istotne jest, by nie wypija więcej ani kropelki. Niestety, przekupywała kogoś, by dostarczał jej whisky. Nie wiemy kogo, może kogoś z dostawców. Dlatego też wolałbym, żeby pani nie dawała jej pieniędzy.

- Nie zrobiłam tego.

- To dobrze.

- Widziałam, że pochłania wielkie ilości słodyczy, a mimo to jest bardzo chuda - zauważyła Harriet.

- To dlatego, że nie chce jeść nic innego. Proszę też pamiętać, że gdy do nas przyszła, była niedożywiona, że już nie wspomnę o zatruciu alkoholowym. Podajemy jej witaminy i namawiamy do jedzenia nowych posiłków, ale gdyby mogła, odżywiałaby się wyłącznie słodyczami. Bez względu na to, co będzie jadła, nigdy nie będzie mogła mieszkać sama. W bardzo krótkim czasie zapiłaby się na śmierć. W jej życiu liczy się jedynie pani i pani sukces. Jest z pani dumna i to trzyma ją przy życiu, a alkohol pozwala zapomnieć o przeszłości. Ale pani wie przecież, że alkoholicy piją, żeby od czegoś uciec.

- W przypadku mojej matki to nieszczęśliwe małżeństwo

- Jej zdaniem wszystkim winny był pani ojciec.

- To nieprawda. Oni po prostu...w ogóle do siebie nie pasowali. Różniły ich charaktery, temperamenty, wszystko. Ich ciągła wojna zabiła mojego ojca. Nie miał siły dłużej walczyć.

- Wiem. Wbrew temu, co ciągle powtarza, to pani matka była stroną silniejszą, choć twierdzi, że została uwięziona i wykorzystana. Była silniejsza, bo czerpała siłę z nienawiści. Postrzega siebie jako ofiarę, ale w rzeczywistości oboje byli ofiarami tego związku.

- Wiem. Dorastałam między nimi.

- Ale poradziła pani sobie doskonale.
  - Wyprowadziłam się z domu mając osiemnaście lat - wyjaśniła chłodno.
  - Pani matka widzi w pani sukcesach swoją zemstę.
- O tak, pomyślała Harriet. Jestem naprawdę dobra w tym, co robię. W tym względzie zawsze odnosiłam sukcesy.

Ale w żadnym innym, myślała wracając do Edsgebaston, bo zawsze koncentrowałam się na jednym. Możesz być ze mnie dumna, mamó. Jestem kobietą sukcesu. Niezależną, z nikim nie związaną kobietą sukcesu, która ma niemałe konto w banku i mężczyznę, który nie stawia żadnych wymagań. Do przodu, do góry, na szczyt, jak mnie uczyłaś. Polegaj tylko na sobie, Harriet. Ufaj tylko sobie, Harriet. Czy nie posunęłam się za daleko? - zaniepokoiła się. Może dlatego robi mi się zimno ze strachu na myśl o życiu u boku Piersa? Jeśli godzisz się na dzielenie z kimś życia, musisz go kochać, a ty mnie uczyłaś, że miłość to uczuciowe zniewolenie. Tylko że ja nie kocham Piersa ani nie chcę dzielić z nim życia. Nigdy nikogo nie kochałam, nie potrafię. A ty? Kochałaś kiedyś ojca? Czy kochałaś go tak bardzo, że gdy, jak twierdzisz, cię zawiódł, twoja miłość zmieniła się w nienawiść? Nie chcę, żeby mnie to spotkało. Wystraszyłaś mnie, mamó, na amen. Nic dziwnego, że związałam się z mężczyzną, który nie stanowi najmniejszego zagrożenia, pod żadnym względem.

Matka nigdy nie śpiewała mi kołysanek, pomyślała ze smutkiem, skręcając w wąski zaułek. Prawiła tylko kazania. Ale niech mnie Bóg broni przed takim końcem jak twój. Przypomniała sobie, jak przyjechała do domu po raz pierwszy po bardzo długiej nieobecności i zobaczyła, że mały domek, kiedyś nieskazitelnie czysty, zarasta brudem i pleśnienią, pościel śmierdzi. Matka była pijana w sztok, w kuchni poniewierały się puste butelki, na podłodze wałały czekolady od niej...

Chciałam kupić sobie wolność. Zostawiłam cię samą, byś hodowała swoją nienawiść, bo tylko tyle miałaś. Okłamałam Piersa, powiedziałam że nie żyjesz, bo chciałam wraz z tobą pogrzebać przeszłość. Zgasiła silnik i siedziała bez ruchu przez dłuższy czas. Z zadumy wyrwał ją starczy głos z silnym szkockim akcentem:

- Tak sobie pomyślałam, że to pani, panno Hilliard. Nowy samochód co? Pewnie bardzo drogi? Przyjechała pani odwiedzić mamę, tak? I jak ona się ma, biedaczka? Minęło sporo czasu, odkąd pani tu ostatnio była.

- Mama ma się dobrze, dziękuję.

Pani McBride mlasnęła językiem.

- Oj, to picie... to straszna rzecz. Poznała panią? Kiedy ja ją ostatnio odwiedziłam, nie miała pojęcia, kim jestem...

- Tak, poznała mnie.

- To dobrze. Miałam oko na państwa dom. Trzeba pani czegoś? Zostanie pani kilka dni?

- Nie, muszę wracać.

- No tak, ma pani własną firmę... pani mama jest taka z tego dumna. Zatrudniłam ogrodnika, żeby zrobił porządek. Nic tak nie zwraca uwagi złodzieja, jak zaniedbany ogród.

- Zauważyłam - skłamała Harriet, która nie miała do tego głowy. - Zapłacę pani za następny kwartał z góry, dobrze?

Co trzy miesiące wręczała pani McBride czek na skromną sumkę, żeby pilnowała domu i sprzątała w nim raz w tygodniu, na wypadek, gdyby matka miała tu jeszcze kiedykolwiek zamieszkać. W głębi ducha wiedziała jednak, że traktuje go raczej jako własne schronienie na chwile takie jak ta.

Pani McBride przyjęła czek z szerokim uśmiechem.

- Cieszę się, że mogę pomóc - stwierdziła radośnie.

Harriet nie wróciła tego wieczoru do Londynu. Zatrzymała się w hotelu w Birmingham. Odwiedziny u matki sprawiły, że nie chciała nocować w tym pobielanym grobowcu, jakim stał się ich dom. Wiązało się z nim tyle wspomnień, z którymi sobie w tym momencie nie radziła: ciągłe nauki matki, wieczne milczenie ojca... Całymi godzinami siedział pochylony nad gablotami z motylami, które kolekcjonował. - Tylko gromadzą kurz - utyskiwała wiecznie matka i groziła, że się ich pozbędzie, aż któregoś dnia ojciec się zdenerwował. - W dniu, w którym pozbędziesz się moich motyli, ja pozbędę się ciebie - oświadczył spokojnie i nigdy więcej nie było mowy na ten temat. Siedział nad swoimi motylami, przy lampie o zielonym kloszu, gdy dopadł go zawał. Nawet wówczas nie zrobił najmniejszego hałasu, tak że niczego nie zauważyły, do tego stopnia przywykły do jego milczenia.

Harriet płakała w nocy, lecz łzy nie splukwały z niej goryczy i zagubienia. Matka powiedziała: „Jesteś wolna, a tego najbardziej pragnęłam”. Więc dlaczego czuje się jak więzień w izolatce?

## 5

We wtorek rano była w sklepie. Rozmawiała akurat ze starym klientem, gdy przez okno zobaczyła, że przy krawężniku zatrzymuje się jasnożółte porsche i powoli wysiada z niego James Alexander, nachylając się na chwilę do okienka kierowcy. Dostrzegła jasną dłoń muskającą jego rękaw, ogniste włosy, lśniąca oczy, i samochód z pi-skim opon odjechał. Zaprowadziła klienta w głąb sklepu - nie chciała, żeby James pomyślał, że go obserwuje, zwłaszcza że postanowiła w przyszłości odnosić się do Jamesa Alexandra z chłodną uprzejmością, nic ponadto.

- Cześć, Bert! - zawołał James, widząc, z kim Harriet rozmawia. - Nadal rozsiewasz plotki?

Harriet zagryzła usta, żeby się nie roześmiać. Bert Kaye - Bertram dla starych klientek - uwielbiał plotki jak nikt inny.

- Uważaj, Jamie, starszku! Nadal łamiesz serca?  
- Póki starczy mi sił...  
Bert zachichotał.  
- Widzę, widzę... Rina już wróciła z Paryża?  
- Owszem, i nie może się doczekać, kiedy powierzy czuprynę twoim dłoniom.  
- No to lecę do zakładu. Nie mogę przecież stracić takiej klientki! - Popatrzył na Harriet. - W porządku, skarbie.  
Wiesz, czego chcę, prawda?  
- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.  
- Powierzam przyszłość mojego salonu twoim nader zręcznym rękami. - Puścił oko do Jamesa. - Nigdy się nie pomyliła. Wszystkie salony, które dla mnie projektuje, to strzał w dziesiątkę. To moja maskotka. - Cmoknął Harriet w oba policzki, pomachał do Jamesa i wyszedł.  
Harriet z trudem powstrzymała się od śmiechu.  
- Nie wiedziałem, że go znasz - zdziwił się James.  
- To jeden z moich pierwszych klientów. A ty?  
- Och, to długa historia... Tylko mnie nie pytaj o szczegóły. Przeszedłem cię poinformować, że w ten weekend załatwiłem ci nowe zlecenie.  
Przyglądała mu się uważnie. Nawet za milion lat go nie zrozumie. Dziś zachowuje się tak, jutro zupełnie inaczej... Widząc jej wahanie, uniósł brwi.  
- Wejdz do biura - zaproponowała.  
Evelyn akurat zaparzyła kawę.  
- Światło mojego życia! - zawołał James. - Mam za sobą ciężki weekend.  
Nie dziwię się, pomyślała Harriet. Widziałam ją. Usiadła za biurkiem i dopiero wtedy zapytała:  
- Jakie zlecenie?  
- Zaprojektowanie wnętrza w Gloucestershire. Moi przyjaciele kupili nowy dom. Robotnicy kończą teraz najniezbędniejsze naprawy i przeróbki, ale za dziesięć dni skończą i dom będzie pusty i dziewiczy. Corinne, czyli żona Charlesa Herveya, widziała dom, który zaprojektowałeś dla Shuny Meredith, i była zachwycona. Kiedy wymieniła twoje nazwisko, powiedziałem, że cię znam i tak się zaczęło. Wychwalałem cię pod niebiosa tak skutecznie, że kazano mi przywieźć cię do Gloucestershire, gdzie Herveyowie obecnie mieszkają, w najbliższy wolny weekend. Celem jest, ma się rozumieć, urządzenie ich nowego domu, Sheringham Court.  
Harriet, choć zaskoczona, nie zapomniała dobrych manier.  
- Dziękuję, że mnie poleciłeś.  
- Och, wystarczającą rekomendacją okazała się twoja praca. Corinne kupuje sukienki u Shuny Meredith, podobnie jak inna moja znajoma.  
Nietrudno się domyślić, o kogo chodzi, pomyślała złośliwie Harriet, pospiesznie kartkując notes. W sobotę wybierała się z Piersem do teatru i na kolację, ale można to odwołać. Poza tym była wolna, a zawsze uważała, że jeśli chodzi o interesy, trzeba kuć żelazo póki gorące. Wszelkie podejrzenia co do motywów Jamesa Alexandra zatrzyma póki co dla siebie, ale będzie patrzeć mu na ręce. Zlecenie to zlecenie i już.  
- Mam wolny ten weekend.  
- Tak? Ale ja nie. Może następny?  
Skoro nie da się inaczej, pomyślała gniewnie. Czują, jak poziom adrenaliny we krwi powoli opada.  
- Dobrze - mruknęła i wpisała datę do kalendarza.  
- A zatem ustalone. Przyjadę po ciebie w piątek po południu, powiedzmy koło trzeciej. Może być? - I niewinnie dorzucił: - Piers nie będzie miał nic przeciwko temu, prawda?  
Harriet tylko na niego popatrzyła. Podniósł filiżankę.  
- Czy mogę prosić o dolewkę?  
Spełniała jego prośbę, gdy zadzwonił telefon.  
- To lady Anstey - mruknęła Evelyn ostrzegawczo. - Chodzi o tę lampę od Tiffany'ego...  
Harriet jęknęła w duchu. Lady Anstey była klientką tyleż rozrzutną, co trudną we współżyciu.  
- Przełącz ją do mnie - poleciła sekretarce i zapytała Jamesa: - Nie masz nic przeciwko temu?  
- Mam, ale czy to coś zmienia? - Z tymi słowami wyszedł.  
Harriet przez dobre pół godziny uspokajała lady Anstey, obiecywała, że wymieni nieszczęsną lampę, wiedząc doskonale, że prędzej czy później klientka zadzwoni, chcąc lampę odzyskać. Lubiła robić dokoła siebie zamieszanie i tyle.  
Ledwie odłożyła słuchawkę, telefon rozdzwonił się znowu. Tym razem był to rozjuszony malarz pokojowy, któremu zabrakło specjalnej ręcznie czerpanej tapety. Harriet uspokoiła go, zmieszała z błotem niesolidnego dostawcę, a dla lepszego rachunku palnęła także kazanie tapicerowi, który obił komplet wiktoriańskich krzeseł materiałem w niewłaściwym odcieniu fioletu. Przy okazji dostało się też producentowi abażurów do lamp, bo dwa były nie takie, jakie zamówił.  
Z niepojętych przyczyn pełna chęci do walki poszła do sklepu, sądząc, że znajdzie tam Jamesa Alexandra.

Tymczasem okazało się, że już wyszedł.

- Był umówiony na lunch - westchnęła zazdrośnie Evelyn. - Z niejaką panną Cunningham.

W rezultacie Harriet została sama, pełna złości, której nie miała na kim wyładować. Na szczęście zjawił się klient, którego już wcześniej umieściła na czarnej liście, i zażądał, by Harriet wymieniła chińską lampę, którą, jak twierdził, dostarczyła mu uszkodzoną. Harriet potraktowała go z tak lodowatą uprzejmością, że uciekł jak zmyty przysięgając w duchu, że nigdy więcej nie ulegnie namowom żony, która nota bene sama zepsuła cholerną lampę. Niech sama pierze swoje brudy.

Harriet szła na lunch z buzującą w żyłach adrenaliną. Gdy wracała Bond Street, dostrzegła na wystawie sukienkę, która kazała jej zatrzymać się w pół kroku.

To był sen, morski sen z koronek i organdy. Kup mnie! - zdawała się mówić suknia. I Harriet posłuchała. Jednak w posępne deszczowe popołudnie, gdy jej dobry humor opadł jak suflet mimo doskonale idących interesów, stwierdziła, że chyba postradała rozum. Falbanki? Organdyna? Przecież to w ogóle nie w jej stylu. Ona uznaje tylko proste, klasyczne fasony, a nie kobiece cudenka jak z męskich fantazji. Powiesiła sukienkę w najdalszym rogu szafy. Może cię to oduczy kupowania pod wpływem nieprzemysłanych impulsów, skarciła się.

W piątek, na krótko przed planowanym wyjazdem do Gloucestershire, poszła do salonu Berta Knightsbridge'a, żeby się ostrzec. Bert zawsze zajmował się nią osobiście. Siedząc na fotelu przed lustrem, uśmiechnęła się na wspomnienie tego, co mówił o nim James.

- A cóż to za uśmiech kotki do śmietanki? - zauważył Bert. - Wyjeżdżamy w jakieś śliczne miejsce, zgadłem?

- Czy śliczne, przekonam się na miejscu.

- W interesach czy dla przyjemności?

- W interesach, które, jak liczę, okażą się przyjemnością.

- Wszyscy mamy taką nadzieję - mruknął, zanim ponownie skupił się na jej włosach. - Nie wiedziałem, że znasz Jamiego - rzucił po dłuższej chwili.

- Najwyraźniej nie tak dobrze jak ty. Nie słyszałam, by ktokolwiek zwracał się do niego per Jamie, a znam go, bo pomagał mi w firmie.

Bert kliknął językiem.

- Słyszałem, że byłeś w dołku psychicznym. Odpoczęłaś? Gdzieś na słońcu, sądząc po opaleniznie. Ja też kocham słońce. Budzi we mnie bestię, na plażach jest tyle...

Harriet parsknęła śmiechem, widząc błogość na jego twarzy.

- Więc Jamie ci pomógł, tak? Nie ma w tym nic dziwnego. Ma, zdolne ręce, jeśli chodzi o pomaganie kobietom. Uważaj na niego skarbie. Jest jak komar. Tyle kobiet zachorowało przez niego na malarię... nie uwierzyłybyś mi.

- Wątpię.

- To on cię podrywa, tak? Na tym polega różnica. Zazwyczaj wszystkie lecą na niego. Chociaż z drugiej strony, wobec tej tygrysy, z którą teraz jest... pewnie ma z nią pełne ręce roboty. Udaje wielką damę, tak, tak. Wchodzi tu, jakby była darem Pana Boga dla całego rodu męskiego! - prychnął z pogardą, co mówiło samo za siebie. - Nie chciałbym jej nawet za dopłatą. Jest okropna, kiedy się złości, a na dodatek ma zeza.

Harriet zachichotała.

- Przysięgam! Bez szkieł kontaktowych jest ślepa jak nietoperz! Kiedyś zgubiła jedno tu u mnie i zachowywała się, jakbyśmy zrobili to celowo, wyobrażasz sobie? Musiała wyjąć drugie i wyjść stąd po omacku. Śmiałem się tak, że nie mogłem utrzymać nożyczek w ręku! Kazała nam wszystkim przysiąc, że nie piśniemy ani słówka. To suka, ale bardzo ładna, trzeba jej to przyznać... Jamie zawsze wybiera najlepsze - pokręcił głową z podziwem. - Uwiódłby nawet westalkę. Boże, co ja bym mógł ci opowiedzieć! Ale nie zrobię tego, bo to mój przyjaciel. Był dla mnie bardzo dobry, nigdy się na nim nie zawiodłem. Kiedyś wydostał mnie ze strasznych tarapatów - nie powiem, o co chodziło, bo jesteś zbyt wielką damą, by słuchać o takich rzeczach, ale nadstawiał dla mnie karku i nigdy mu tego nie zapomnę.

- Akurat tak się składa - Harriet mówiła szybciej, niż zdążyła pomyśleć - że właśnie z nim wyjeżdżam na weekend. Ale tylko w interesach - dodała szybko, widząc zdumienie na twarzy Berta.

- Tym niemniej miej się na baczności. Ma na koncie więcej podbojów niż Casanovę, a ty nie jesteś - wybac - tym gatunkiem ptaka. Nie żeby nie interesowały go wszystkie gatunki, jakie tylko są w księgach... oczywiście nie mam na myśli Księgi Guinnessa...

- Będę miała oczy i uszy otwarte.

- A drzwi zamknięte... Choć to go nie powstrzyma, wejdzie przez okna. Już nieraz to robił...

Harriet otarła z oczu łzy śmiechu.

- A czy jest coś, czego nie zrobił? - wykrztusiła.

- Bardzo w to wątpię. Ach, żebyś wiedziała, co mi opowiadały kobiety siedzące na twoim miejscu! Lecą do niego jak pszczoły do miodu, mówię ci! - Odsunął się odrobinę i obrzucił swoje dzieło krytycznym spojrzeniem. - I co ty na to?

- Doskonale - powiedziała Harriet szczerze. Włosy, lśniące, krótkie, sprężyste, idealnie otaczały jej owalną twarz.

- Ciągłe używasz mojego szamponu i odżywki?
- Oczywiście. Skorzystam z okazji i uzupełnię zapasy.
- Bardzo mnie to cieszy.
- Mnie bardziej - zapewniła ciepło.

James przyjechał po nią punktualnie o trzeciej. Był ubrany jak na wieś: w doskonale skrojone bryczesy i koszulę w zielono-żółto-brązową kratkę, widoczną spod pistacjowego swetra. Było ciepło majowe popołudnie, toteż marynarka leżała na tylnym siedzeniu.

Ledwie wsiadła, owionął Harriet zapach perfum - słodkich i ciężkich, seksownych, zupełnie nie w jej stylu. Energicznie opuściła szybę.

- Nie będzie ci zimno? - zapytał James, patrząc jej w oczy. Wiedziała, że odgadł, czemu otwiera okno.
- Lubię świeże powietrze - odparła.
- Nie chcesz chyba, żeby wiatr zrujnował ci nową fryzurę? Bert Kaye? Od razu rozpoznaję jego nożyce.
- Tak.

Uśmiechnął się.

- Prawdziwy z niego oryginał. Ma złote serce. Pewnie podzielił się z tobą najnowszymi plotkami?
- Nie, plotkami nie... Udzielił mi wielce użytecznych informacji.

Poczuła na sobie jego wzrok.

- Wyobrażam sobie. Zna chyba więcej tajemnic niż KGB. Twoje też?
- Nie mam żadnych.
- Raczej nikomu się z nich nie zwierzasz. Chyba że masz pamiętnik?
- Tylko kalendarz.

- No tak, wszystko ukryte w głowie, jak w Forcie Knox. Swoją drogą, jak się nazywa ten odcień? Stare złoto? A skoro o kolorach mówimy, nie jestem takim czarnym charakterem, jak można by sądzić. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Czy Bert machnął mi portret Doriana Graya?

- Nie pochlebiaj sobie.
- Wolałbym pochlebiać tobie.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Prowadził pewnie, z dłońmi niedbale opartymi o kierownicę. Nie nosił żadnej biżuterii oprócz małego złotego zegarka na skórzanym pasku.

- Nie lubisz mnie - stwierdził raczej, niż zapytał.
- Nie wiem, co to ma do rzeczy - odparła wymijająco.
- Całkiem sporo. Wierzę w przyjaźń i wpływy.
- Doprawdy? A ja myślałam, że jest wręcz odwrotnie!
- Uwważaj - mruknął dobrodusznie - nie przeciągaj struny.

Coś w jego głosie sprawiło, że puściła przestrogę mimo uszu. - Nigdy tego nie robię. I nie wytykam nosa w nie swoje sprawy.

- Bo ci tak wygodniej. Nie uważasz, że czas wytknąć nos z lodowej wieży?
- Nie potrzebuję twoich rad - rzuciła ostro, lecz zgasił ją natychmiast:
- Więc czemu ciągle ich udzielasz?

Sądziła dotąd, że James ma zbyt szczelnie opancerzone ja, by jej delikatne ukłucia go dotknęły.

- Przepraszam bardzo, nie robiłam tego celowo - powiedziała ze sztuczną pokorą.
- Oczywiście że tak. Wtykasz mi szpilki, odkąd się poznaliśmy. Dlaczego? Co ci takiego zrobiłem?
- Na przykład wtrącasz się w moje życie prywatne! - wybuchnęła, zanim zdążyła ugryźć się w język.
- Aha... Paula i jej amerykański Krezus. Co ja takiego zrobiłem? Obudziłem śpiące licho?
- Gdybyś pilnował swego nosa... Nie wiesz, że każdy śpiewa własną melodię?
- Jasne. Nie w twoim chórze, prawda, Harriet? Jesteś samowystarczalna. Posłuchaj siebie przez chwilę.

Najwyższy czas zmienić tonację.

- Piersowi ona odpowiada.
- Piersowi słoń nadepnął na ucho. Dziwne, że o tym nie wiesz. Cmoknął wargami z dezaprobatą, a Harriet zazgrzytała zębami. Naprawdę tego nie wiedziała. Nigdy nie rozmawiali o muzyce.
- Mimo wszystko, dopóki tańczy jak mu zagrasz, wszystko w porządku.
- I tak nie dorównam tobie w wygrywaniu smętnych melodii na cudzych sercach! - rzuciła złośliwie.

James odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się na całe gardło

- Nic dziwnego, że Piers odpał przez nokaut. Rozwaliłaś go jednym ciosem.
- Nie tknęłam go palcem!
- No i dobrze. Nie ta liga.

- Wbrew powszechnemu mniemaniu - wycedziła głosem lodowatym jak dobrze zmrożona margarita - mój związek z Piersem w niczym nie przypomina walki o mistrzostwo świata w wadze ciężkiej.

- Walki? Myślałam, że już wygrałaś? Złapałaś byka za rogi, powaliłaś, skrzępowałaś i wypatroszyłaś. - I szybko,



tak szybko, że nie poczuła ostrza, dodał: - Dlatego dziwię się, że nie potraktowałaś tak samo Pauli już przed laty... Gdybyś to zrobiła, nie miałbym najmniejszego powodu, żeby, jak to określiłaś, wtykać nos.

- Poradzę sobie bez twojej pomocy, wielkie dzięki.
- To kwestia tego, jak bardzo ci na nim zależy.
- Doskonale wiem, ile jest wart, dziękuję bardzo.
- Co za uparta kobieta!
- Lepsze to niż niestała.
- Och, nawet przez chwilę nie wątpiłem, że byłaś mu wierna - na swój sposób.
- Wiem, co jest dla mnie dobre.
- A dla Piersa?
- Gdyby coś mu nie odpowiadało, odszedłby dawno temu!
- A niby dokąd miał odejść?

Harriet głęboko zaczerpnęła tchu.

- Jeżeli w ten sposób zawierasz przyjaźnie, nie potrzebujesz żadnych wrogów!
- Niedobrze ze mną zadzierać.

Coś w jego głosie sprawiło, że zapytała:

- Czy to ostrzeżenie?
- Traktuj to jak chcesz.
- Od ciebie chcę tylko jednego.
- Mianowicie? - Wydawał się szczerze zainteresowany.
- Milczenia!

I znowu wybuch śmiechu. - Harriet, jesteś jedyna w swoim rodzaju. Nic dziwnego, że Piers chodzi za tobą jak ogłupiały.

- Na szczęście, jak zdążyłaś zauważyć, ja jestem przytomna.

Przez cały czas, gdy się kłócili, w jej żyłach buzowała adrenalina. Czowała się lepiej niż kiedykolwiek; od lat nie bawiła się tak dobrze podczas słownej utarczki. Piers nie miał duszy gladiatora, poddawał się bez walki. No, ale James to godny przeciwnik. W radosnym napięciu czekała na jego następny ruch, lecz gdy nadszedł, poczuła, że traci grunt pod nogami.

- Najbardziej mnie interesuje nie to, jaka jesteś, tylko jaka nie - stwierdził.

Harriet pospiesznie usiłowała ściągnąć go z niebezpiecznego tematu.

- Zapewniam pana, panie Alexander, że nie widzę powodu, dla którego w ogóle miałby się pan mną interesować.  
- Pauza i efektowna puenta: - Bo ja się tobą wcale nie interesuję. Nie pracujemy już razem, więc każdy może pójść własną drogą.

- I będziesz miała „Harriet Designs” tylko dla siebie. Życzę wam wiele szczęścia, ale pamiętaj, że w tym kraju bigamia jest karalna. Właśnie dlatego nie spieszo ci do ślubu z Piersem, prawda? To nie jego rozwód was powstrzymuje, tylko twój nierozważny związek ze swoim alter ego!

Harriet z trudem zaczerpnęła tchu.

- Nie przejmuj się moimi motywami, bardzo proszę. Twoje są bardziej podejrzane. Na przykład, dlaczego podejmujesz za Piersa decyzje dotyczące jego życia?

- Bo jest jednym z moich najdawniejszych przyjaciół i kiedyś niechcący wyrządziłem mu niedźwiedzią przysługę. I dlatego, że biedak ma dosyć trwania w zawieszeniu. Od tak dawna trzymasz go w chłodni, że skamieniał i nie jest w stanie zrobić samodzielnego kroku!

- To kłamstwo! - wyrwało się jej bezwiednie. Z przerażeniem patrzyła na swoją rolę jego oczami.

- Pomyśl tylko. - Był nieugięty. - Gdybyś naprawdę pragnęła Piersa - a pożądanie to kolejna rzecz, o której nie masz zielonego pojęcia, tak na marginesie - nawet ogień piekielny nie powstrzymałby kobiety o twojej ambicji i determinacji przed osiągnięciem celu. Piers to twoja zasłona, za którą kryjesz się wraz z tym, co ci naprawdę leży na sercu - „Harriet Designs”.

Harriet pobladła. Obawiała się, że zemdleje, ale gdy się wezwała, w jej głosie nie było śladu słabości.

- Tego już za wiele! Przekroczyłaś wszelkie granice! Gdyby nie to, że jestem dobrze wychowana, kazałabym ci w tej chwili zawrócić i odwieźć mnie do domu. Wolałabym pójść do piekła niż gdziekolwiek z tobą! Nie, nie lubię cię i nigdy nie polubię! Wydaje ci się, że jesteś Bóg wie kim, że wszystkie kobiety za tobą szaleją i dzięki i masz prawo wtrącać się w ich życie. Nie obchodzi mnie, od jak dawna znasz Piersa. Odczep się ode mnie, w tej chwili!

- Bravo! - Wcale się nie przejął jej wybuchem. - To tylko potwierdza moją opinię na twój temat, Harriet. Ale już będę cicho, żebyś przez resztę drogi mogła myśleć, o czym tylko chcesz. - Docisnął pedał gazu i wiejski krajobraz za szybą rozmył się w niewyraźną smugę.

A niech cię! Harriet w myślach obrzucała go stekiem przekleństw. Mam w nosie, co o mnie sądzisz, panie Alexander! Z wyjątkiem, podsunął jej demon, z wyjątkiem tego zlecenia. Dostaniesz je, bo on cię polecił. Jeśli chcesz się przysłużyć „Harriet Designs”, będziesz dla niego miła. Jest ci potrzebny, przynajmniej chwilowo, więc zachowuj się jak dama i trzymaj język za zębami.

Zagryzła usta.

- Przepraszam - rzuciła sztywno. - Straciłam panowanie nad sobą.
- Wygląda na to, że w moim towarzystwie trudno ci je zachować. Ciekawe, dlaczego...
- Błagam... - Skoro przyznała przed sobą, że go potrzebuje, prędzej pęknie, niż da się wciągnąć w następną kłótnię. - Zmieńmy temat, dobrze? Opowiedz mi o państwu Herveyach.

## 6

Dom Herveyów, Fairlawns, leżał u stóp wzgórza, które stanowiło centralną część starej, pełnej uroku wsi Cotswold. Okrążyli potężny kasztan, minęli otwartą bramę i wjechali na wysypany żwirem podjazd. Poprzez zwisające gałęzie drzew Harriet dostrzegła obszerny, zbudowany z kamienia dom o dużych oknach wychodzących na rozległe trawiaste tarasy. Słysząc było dziecięce głosy; gdy zatrzymali się przed domem, zobaczyła dwóch chłopców bawiących się na huśtawce.

James zatrzymał samochód. Chłopcy podnieśli głowy, ciekawi, kto przyjechał. Gdy rozpoznali gościa, rzucili się ku niemu z okrzykami radości.

- Wujek James!

Najwyraźniej James był tu gorąco oczekiwany... Ledwie wysiadł, wczepili się w niego jak niedźwiadki. Protestował żartobliwie, ale wziął ich na ręce i uściśkał równie serdecznie jak oni jego.

- James? To ty? - dał się słyszeć kobiecy głos. - Zaraz przyjdę!

Harriet uniosła dłoń do oczu, by osłonić je od słońca, i dostrzegła naprzeciw domu stajnię; właśnie stamtąd dochodził głos. Po chwili drzwi się otworzyły i w progu stajni zjawiła się kobieta o bujnych kształtach, w bryczesach i bladożółtym sweterku, zbliżonym kolorem do jej włosów. Zanim starannie zamknęła za sobą drzwi, odwróciła się jeszcze, by pogłaskać pysk wielkiego czarnego konia, który szturchnął ją w ramię.

- No dobrze, dobrze, dostaniesz jabłuszko... - dobiegł ich spokojny, czuły głos. Patrzyła, jak kobieta pochyla się nad koszykiem i podaje koniowi na rozpostartej dłoni dorodne soczyste jabłko. Zwierzę delikatnie chwyciło je wargami, uniosło głowę i żuło z satysfakcją.

- Łakomczuch - powiedziała blondynka ciepło. Poklepała konia po karku i podeszła do samochodu. Chłopcy wisieli Jamesowi u łokci. Harriet spokojnie stała z boku.

- Chłopcy, przestańcie! Zostawcie Jamesa w jednym kawałku! - zawołała blondynka, po czym objęła go sama. - Cieszę się, że cię widzę. A to zapewne panna Hilliard - z uśmiechem wyciągnęła do niej rękę. - Witamy w Fairlawns. Jestem Corinne Hervey. Cieszę się że mogła pani do nas przyjechać.

Harriet uściśnęła dłoń gospodyni.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Jak wam minęła podróż? - zainteresowała się Corinne.

- Burzliwie - stwierdził James takim tonem, że spojrzała na niego z ciekawością.

- Ale przecież pogoda... Ach, rozumiem! - jej oczy rozbłyły. - Pokłóciliście się! Widzę, że szybko znajdziemy wspólny język - zwróciła się do Harriet. - Nieczęsto zdarza mi się poznawać kobiety, które ważą się mu przeciwstawić. Zanieś torby do domu, dobrze, James? Zamieszkasz, jak zwykle, w swoim starym pokoju, a pannę Hilliard umieściłam w złotym. Pasuje do pani włosów - spojrzała na Harriet z uznaniem. - A teraz zapraszam na herbatę. Umieram z ciekawości, co sprawiło, że James określił waszą jazdę mianem burzliwej.

Poprowadziła Harriet do domu. Minęły duży hol, którego witrażowe okna stały na podłodze barwne plamy, i weszły do małego saloniku z widokiem na taras. Na stoliku czekała srebrna taca z serwisem do herbaty, półmisek kanapek i patera ze świeżo upieczonym czekoladowym ciastem.

Meble były raczej wygodne niż wytworzone: skórzana kanapa chesterfield i dobrane do niej fotele, piękny regalik na książki, którego półki ugięły się pod ciężarem rozmaitych tomów, stary, ale starannie utrzymany stolik nikiący pod stertą gazet i magazynów, krzesła Sheratona, które, jak zauważyła Harriet, wręcz proszą się o tapicera, i trójkątny chiński kredens na porcelanę. Na gzymsie kominka, niemal niewidoczne za plikiem zaproszeń, ukryły się porcelanowe figurki.

- Proszę usiąść - Corinne sięgnęła po imbryk z herbatą. - Pewnie umiera pani z pragnienia - zwłaszcza po tej jakże burzliwej przejażdżce. - Oczy koloru bratków otworzyły się szeroko z ciekawości.

- Jest pani Amerykanką, prawda? - Harriet miała nadzieję, że uda jej się zmienić temat.

- Urodziłam się i wychowałam w Wirginii, ale wyszłam za Anglika i zamieszkałam tutaj.

- Dawno?

- Dziesięć lat temu.

- Więc zna pani Jamesa od dawna?

- Och od dziecka. Nasze matki są kuzynkami. - W jej oczach pojawił się zabawny błysk, gdy ciągnęła: - Muszę pani wyznać, że w ich mniemaniu James po dziś dzień pozostał Tym, Który Odszedł. Wyświadczył mi jednak największą przysługę mego życia, mianowicie poznał z Charlesem, więc uważam się za szczęściarę.

Nie wiadomo dlaczego, Harriet pomyślała w tej chwili o Pauli Cayzer. Z zadumy wyrwał ją głęboki męski głos:

- Czy słyszę kobietę mego życia?

Do pokoju wszedł istny olbrzym. Najwyraźniej miał znacznie więcej niż dwa metry wzrostu (jak się później

Harriet dowiedziała, mierzył dokładnie dwieście piętnaście centymetrów) i posturę Herkulesa. Spod jasnej jak czupryny jego synów strzechy patrzyły bladoniebieskie oczy. Miał na sobie pogniecione sztruksy i koszulę; właśnie opuszczał rękawy, skrywając ramiona grubości konarów.

- Przyszedłeś w odpowiednim momencie, kochany. Chciałabym przedstawić ci pannę Hilliard. - Corinne uśmiechnęła się serdecznie. - Bądź co bądź, ty będziesz płacił za jej usługi.

Podał jej rękę.

- Oboje z żoną byliśmy zachwyceni tym, co pani stworzyła w domu Shuny Meredith. Corinne od razu powiedziała, że tylko pani powierzy nasz nowy dom.

- Prawda - Corinne entuzjastycznie kiwała głową. - Dom Shuny to istne marzenie. No, ale ma kolekcję pięknych antyków. Niemniej stworzyła im pani idealne otoczenie. Myśli pani, że i u nas to się uda?

- Oczywiście, zwłaszcza że i państwo mają parę pięknych mebli.

Corinne uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Nie jestem ekspertem, ale orientuję się troszeczkę w porcelanie i meblach. To oczywiście zasługa Jamesa, który wie wszystko na ten temat. Nieraz uchronił mnie przed zaufaniem oszustom.

Harriet zrobiło się słabo, gdy usłyszała te słowa.

- Jak słyszałam, pomógł pani w trudnym okresie? - Charles usadowił się na olbrzymiej kanapie.

- Lekarz uznał, że muszę wypocząć. Teraz jednak wróciłam już do dawnej formy i pan Alexander nie musi się o mnie martwić choć oczywiście jestem mu bardzo wdzięczna, że mnie państwu polecił.

Corinne nalala mężowi herbaty, co chwila zerkając na Harriet kątem oka. Zaintrygowało ją coś w jej tonie. Akurat w tym momencie dołączył do nich przedmiot rozmowy.

Od pierwszej chwili było dla Harriet jasne, że James cieszy się w tym domu szczególnymi względami. Wrażenie pogłębiło się, gdy po herbacie dorośli rozsiedli się wygodnie, a niania wprowadziła umytych chłopców. Obaj byli śliczni, z jasnymi włosami ojca i oczami matki. James który otrzymał imię po ojcu chrzestnym, miał osiem lat, Jeremy sześć. Właśnie Jeremy uznał, że Harriet jest jego ulubienicą. Zwrócił na nią swoje szafirowe oczy i spojrzał tak uwodzicielsko, że szepnęła do jego matki: - Za dwadzieścia lat niech Bóg ma kobiety w opiece, jeśli będzie tak na nie patrzył.

- Proszę nie pozwolić, by cokolwiek uszło mu na sucho - ostrzegła zachwycona Corinne. - To straszny naciągacz.

- Nie on jeden - stwierdziła Harriet patrząc na Jamesa Alexandra.

- Chcesz obejrzeć mojego kucyka? - zaproponował Jeremy. - Nazywa się Buttons.

- Bardzo chętnie.

- Masz kucyka?

- Nie. Tylko raz jeździłam konno, na plaży w Bognor.

- Gdzie to jest?

- Doigrała się pani - mruknęła Corinne. - Teraz nie da pani spokoju, dopóki się wszystkiego nie dowie.

- Opowiesz mi, kiedy przyjdiesz mnie pocałować na dobranoc - zdecydował Jeremy, nawet nie biorąc pod uwagę, że Harriet może odmówić.

Siedzieli i rozmawiali. Chłopcy dostali po kanapce i kawałku ciasta, które nazywali „diabelskim”. - Według przepisu mojej babci - poinformowała Corinne. Wkrótce dołączył do nich Shep, złoty labrador, który również dostał kawałek ciasta, i William, biały pekińczyk; ten wolał chleb z masłem. Towarzyski Shep podał Harriet łapę, William jednak obwąchał ją tylko i odszedł do jedynej pani swego serca - Corinne. Po około czterdziestu minutach niania zabrała dzieci do kąpieli. Corinne również się podniosła.

- Zaprowadzę panią na górę, Harriet. Mogę się chyba tak do pani zwracać? - uśmiechnęła się ciepło. - My, Amerykanie, wolimy mówić wszystkim po imieniu. Wcale nie tak łatwo znaleźć drogę w tym domu. Kolejne pokolenia dobudowują coś do niego od dwustu pięćdziesięciu lat, wskutek czego przypomina labirynt. Początkowo był to dom farmerski, obecnie została z niego tylko gigantyczna kuchnia, z której się zresztą bardzo cieszę, bo mogłam zainstalować prawdziwą amerykańską lodówkę. Nigdy nie zrozumieć, jak wy, Brytyjczycy mieściecie cokolwiek w tych mikroskopijnych pudełeczkach...

Pokój Harriet był piękny: cały w złocie i beżu, subtelny i kobiecy.

- Gdyby potrzebowała pani przewodnika w drodze na kolację, James jest po drugiej stronie korytarza.

Harriet uśmiechnęła się pod nosem i obiecała sobie, że za żadne skarby świata nie skorzysta z jego pomocy. Podeszła do okna.

- Jak tu pięknie...

Łagodnie falujące wzgórza opadały ku dolinie, którą wiał się potok. Na przeciwległym zboczu widniała wioska z dominującą nad dachami kościelną wieżą. Na zielonych polach pasły się krowy, owce i konie.

- Prawda? - podchwyciła Corinne. - Przypomina mi to dom. Była pani kiedyś w Wirginii?

- Nie, w ogóle nie byłam w Stanach. - Piers zawsze się obawiał, że gdyby towarzyszyła mu w jednej z jego częstych podróży służbowych, ktoś mógłby ich zobaczyć, i od razu języki poszłyby w ruch.

- A zatem musi pani koniecznie tam pojechać. Będzie pani zachwycona!

- Nie szkoda pani tego zostawiać? - Harriet wskazała widok za oknem. - Szkoda, ale potrzebuję więcej miejsca

dla moich skarbów - czyli kom. Jak każdy z Wirginii, kocham konie. Pani poluje?

- Tylko na bibeloty.

- Szkoda... Więc jakie ma pani hobby?

- Pracę.

- James mówił, że pani pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. - Kolejne pytanie zadała z istic amerykańską bezpośredniością: - Co wywołało tę burzę po drodze? Proszę mi powiedzieć!

- Mała różnica zdań. - Widząc, że Corinne nie daje za wygraną, Harriet dodała: - Prawie go nie znam. Jest przyjacielem mojego współnika, nie moim.

- To znaczy, Piersa Cayzera.

- Zna pani Piersa?

- Tak, chodził do szkoły z Charlesem. Proszę mi powiedzieć, jak James się spisał jako pani zastępca?

- Czy to wiadomo na odległość? - mruknęła Harriet mało uprzejmie.

W oczach Corinne pojawiły się radosne iskierki.

- Wiedziałam! Wszystkie kobiety, które dotychczas do nas przywoził, jadły mu z ręki. A tu coś mi mówi, że pani tę rękę kąsa! Dlaczego?

- Łączyły mnie z panem Alexandrem tylko interesy, nic więcej - oznajmiła Harriet z całą stanowczością, na jaką było ją stać. - Proszę się we mnie nie doszukiwać jego kolejnej zdobyczy.

Corinne opadła na łóżko, zwijając się ze śmiechu.

- O Boże! James mówił, że ma pani ostry język! Od dawna wiedziałam, że pewnego dnia spotka godną siebie przeciwniczkę. Tyłu kobietom złamał już serca... Dobrze, że Piers go do pani ściągnął. A swoją drogą, co u niego słychać? Nie widzieliśmy się z nim od wieków.

- Wszystko w porządku, dziękuję.

- Wie pani, że to James przedstawił mu Paulę, prawda? - Corinne uśmiechnęła się przebiegle. - Czy dlatego go pani nie lubi?

- Jakby nie było, to Piers się z nią ożenił - zauważyła Harriet.

- Fakt. - Corinne wstała z łóżka. Wiedziała, kiedy nie należy posuwać się dalej. Dziesięć lat w Anglii nauczyło ją, że Anglicy bardzo się różnią od jej rodaków: o ile Amerykanie ochoczo opowiadali historię swego życia przy pierwszym spotkaniu, Brytyjczycy uważali to za zbyt poufałość. - Pójdę już. Gdyby pani chciała zajrzeć do Jeremy'ego, pokój dziecinny jest piętro wyżej. Najpierw schodami, a potem prosto do końca korytarza.

Gdy rozpakowała się już i ustawiła przybory toaletowe w bardzo amerykańskiej łazience, odnalazła na podstawie instrukcji Corinne pokój dziecinny. Jeremy już na nią czekał z wyrazem oczekiwania na buzi.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - oznajmił na jej widok.

- Kiedyś złamiesz tyle serc... - westchnęła Harriet, patrząc w niewinne niebieskie oczy.

- Co to znaczy?

- Dowiesz się w swoim czasie.

Poklepał materac, zachęcając ją, żeby usiadła koło niego.

- Przeczytasz mi bajkę?

- A czy mam wybór?

- Tak. Jaką zechcesz.

Parsknęła śmiechem.

- Spryciarz z ciebie! No dobrze... Z tej książeczki? Z „Baśni” Andersena? - Przeglądała książkę, dopóki Jeremy nie wskazał jednej z ilustracji.

- O, tę... Królowa wygląda jak ty.

- Królowa Śniegu?

- Tak. Ma jasne włosy i niebieskie oczy.

I sople lodu zamiast serca. Harriet zrobiło się nieswojo na tę myśl.

- Podobieństwo na tym się nie kończy - potwierdził głos Jamesa Alexandra. Odwróciła się. Stał w progu, niedbale oparty o framugę. Jego imiennik chował się za nim.

- No, dalej - ponaglił ją. - Przeczytaj nam bajkę. Przecież wierzysz w bajki, prawda?

Ich oczy spotkały się na moment i Harriet opuściła wzrok na książkę. Dlaczego jest taka zła? Co takiego ma w sobie ten facet? Zarzucał jej, że go kłuje szpilkami złośliwości, ale sam nie zostawał w tyle.

Obaj Jamesowie weszli do pokoju i usiedli na kanapie pod oknem.

- No, dobrze - oznajmił James senior. - Wszyscy siedzimy wygodnie. - Zaczynaj.

Nie miała wyjścia. Od lat nie czytała na głos; ostatnio umiała w ten sposób czas ojcu, gdy zaczął go zawodzić wzrok. Na początku krępowała ją obecność Jamesa Alexandra, ale w miarę czytania wciągała ją historia Kaja i Gerdy. Jeremy przytulił się do niej, a ona objęła go ramieniem, z przyjemnością wdychając zapach dziecka - mydło i niewinność. Nie zauważyła nawet, że wszyscy siedzieli zasłuchani do tego stopnia, że gdy przyszła zaalarmowana ciszą niania, została, by także posłuchać.

- Szkoda mi biednej Królowej Śniegu - oznajmił Jeremy, kiedy skończyła.

- Ja tam wolę Kaja i Gerdę - sprzeciwił się jego brat. - Ale nie pozwoliłbym, żeby jakaś stara wredna Królowa Śniegu wsadziła mi łód do oka.

- Teraz podziękujcie panie Hilliard i życcie jej dobrej nocy - poleciała niania. Trzydziestoletnia praktyka sprawiła, że była wzorem opanowania i spokoju.

- Harriet mnie utuli do snu, prawda? - przymilał się do niej Jeremy.

- Dla ciebie to panna Hilliard, mój chłopcze - zauważył James władczo, co skłoniło Harriet do natychmiastowej reakcji:

- Mów mi po imieniu, Jeremy. Tak jak wszyscy przyjaciele.

- A mnie wujek James utuli, prawda? - Jego imiennik wsunął się pod kołdrę.

Kiedy Jeremy był gotów do snu, poprosił o pocałunek na dobranoc. Pochyliła się nad nim, a on zarzucił jej na szyję pulchne ramionka

- Jutro ci pokażę Buttonsa - szepnął.

Uśmiechnęła się.

- Nie mogę się doczekać.

- Jeśli kiedykolwiek znudzi ci się projektowanie wnętrza, zawsze możesz się zatrudnić jako lektorka - zauważył James.

Minęła go i zesłała na dół. Tuż przy drzwiach swojej sypialni odwróciła się na pięcie i posłała mu uśmiech, na widok którego uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Wiem, co przeczytałabym tobie - oznajmiła takim tonem, że natychmiast zapytał:

- Tak? A co?

- Deklarację Niepodległości.

I zamknęła mu drzwi przed nosem.

Z niewiadomych przyczyn Annie zapakowała także owo cudo z morskiej organdy, oprócz sukienki wieczorowej z czarnej krepy, o którą Harriet prosiła. Było to arcydzieło Jeana Muir, jedna z ulubionych kreacji Harriet. Prosta, o doskonałym kroju. Obcisła góra podkreślała jej szczupłość. Głęboki dekolt w kształcie litery V zdobiła pojedyncza kremowa kamelia.

Powiesiła suknię, żeby odeszły mikroskopijne zgniecenia, i wzięła długą, rozkoszną kąpiel. Cieszyło ją, że wreszcie, raz a dobrze, utarła nosa Jamesowi Alexandrowi. Starannie się umalowała, obficie spryskała perfumami Amarige, założyła sukienkę, wsunęła stopy w czarne szpilki, sięgnęła po kopertową torebkę. Jeszcze jedno spojrzenie w lustro, by się przekonać, że wszystko jest jak należy, i była gotowa do kolacji.

Trafiła na dół, bo zapamiętała punkty orientacyjne. Minąć fantastyczny chiński kredens z drzewa sandałowego, przejść przez podest z obrazem Corota, potem w dół schodami, gdzie stoi zgrabny sekretarz przy białej ścianie, i korytarzem na prawo, prosto do głównych schodów. W holu dobiegły ją dźwięki muzyki. Kierując się nimi, doszła do uchylonych drzwi, za którymi ujrzała Charlesa Herveya na obitej toczonym aksamitem sofie. Gdy weszła, zerwał się na równe nogi. Był to duży, przestronny pokój. Na błyszczącym parkiecie widniały małe chodniczki, gdzieś stały drobne mebelki, wszystkie jednak nikły wobec olbrzymiego fortepianu. Zdobiła go kolekcja posążków z jadeitu. Dwa identyczne stoliczki chippendale strzegły przeciwległych ścian; w rogu pyszniła się gablotka z piękną porcelaną. Pod ścianą dostrzegła wielki kominek, obecnie wygaszony, za to zdobny w kompozycję paproci i jagód. Duży barek ugiął się pod ciężarem butelek. W pokoju rozbrzmiewała muzyka Mozarta.

- Więc nie trzeba wysłać na pomoc świętego Bernarda, czy raczej - świętego Jamesa?

- Mam doskonały zmysł orientacji - odparła Harriet lekko. Udała, że nie widzi błysku w jego oku. Najwyraźniej Corinne opowiedziała mu wszystko, a zdążyła się już zorientować, że oboje Herveyowie to niepoprawni kpiarze.

- Proszę wejść. Czego się pani napije? Gin z tonikiem? A może amerykańskie martini? Żona nauczyła mnie je przyrządzać. Mamy też wyśmienitą sherry...

- Poproszę sherry - rzuciła szybko. - Piers opowiadał jej o amerykańskim martini jako o Najstraszliwszej Broni Jankesów, a w obecności Jamesa Alexandra musi zachować jasność umysłu. Przycupnęła na fotelu, którego poduszkę pokrywał kunsztowny haft. - Bardzo piękne - pochwaliła.

- To dzieło mojej żony.

- Widzę, że pani Hervey ma wiele talentów. Podał jej szklaneczkę jasnego płynu.

- Mam nadzieję, że polubiła nas pani na tyle, że zechce pani mówić nam po imieniu. Ja, szczerze mówiąc, już myślę o pani jako o Harriet. To takie urocze, staroświeckie imię. Pasuje do ciebie.

- Czy to ma znaczyć, że jestem czarująca, czy staroświecka?

- Czarująca z pewnością, staroświecka - cóż, nie w dosłownym znaczeniu, ale nie jesteś też twardą kobietą biznesu, której się spodziewaliśmy, sądząc po opisie Jamesa.

Znowu błysk w oczach. Harriet nie wiedziała, kpi czy nie, więc odparła lekko:

- Nie można wierzyć we wszystko, co mówi pan Alexander

- Och, znam go na tyle dobrze, że o tym wiem. Tym niemniej jestem jego dłużnikiem, że cię do nas przywiózł.

Jestem pewien, że będziemy bardzo zadowoleni z twoich projektów.

- Gdzie jest wasz nowy dom?

- W linii prostej jakieś trzy mile stąd, drogą - około pięciu. Pojedziemy tam jutro rano. Jutro po południu obchodzimy w naszej wiosce święto majowe. Corinne na pewno namówi cię, żebyś razem z nią prowadziła jej stoisko. Ma szczęśliwą rękę, dotychczas sprzedawała wszystko. Spędziliśmy w tej wsi dziesięć szczęśliwych lat, ale potrzeby rosną, a Corinne potrzebuje więcej przestrzeni dla swoich koni. Miejmy nadzieję, że nasi nowi sąsiedzi będą równie uroczy, jak obecni.

Corinne zastała Jamesa w korytarzu przed lustrem, mocującego się z czarnym krawatem.

- Co się stało? Kłopoty?

- Mam dziś pecha - westchnął.

- Odwróć się.

Posłuchał, co dało mu okazję zajrzeć do salonu. Harriet, z brodą opartą na dłoni, siedziała zasluchana w słowa Charlesa, który opowiadał o problemach współczesnego rolnictwa. Corinne poprawiła mu krawat i podążyła w ślad za jego wzrokiem.

- Trafiła kosa na kamień, co, James? Jest urocza, śliczna, ale nieco zbyt... opanowana, nie uważasz? I ma taki ostry język. Ale jak sprytnie wybrała czerń!

- Harriet to w ogóle sprytna dziewczyna.

- Która ma kogo innego na muszce. Wyjaśnij mi, jakim cudem zdobył ją taki stary nudziarz, jak Piers?

- Nie on ją, tylko ona jego.

- Tak? Myślałam, że jest na tyle niezależna, że nie musi łąpać bogatego.

- Nie chce jego pieniędzy. Nie wiem jeszcze, o co jej chodzi, ale na pewno nie jest drugą Paulą.

W oczach Corinne pojawił się błysk.

- Uspokój się, dziewczyno - poradził James. - Dowiemy się wszystkiego w swoim czasie. Uzbrój się w cierpliwość.

Jednym ruchem otworzył drzwi.

- A to co? Chyba nie zaczęliście bez nas?

## 7

W sobotni poranek, po smakowitym śniadaniu, wszyscy razem pojechali do nowego domu. Była to perełka w stylu królowej Anny, wieńcząca podjazd w kształcie półksiężyca; na tyłach domu tarasy opadały łagodnie w stronę zapuszczonego ogrodu. Stajnie stanowiły osobny kompleks, z własnym podwórzem, na które prowadziła zwieńczona łukiem brama.

Jeremy wziął Harriet za rękę i oprowadził po posiadłości, zwracając szczególną uwagę na pokoje na samej górze - miały w nich zamieszkać dzieci. Cała trójka, uściśliła Corinne i wyjaśniła, że w październiku spodziewa się trzeciego dziecka.

- Mam nadzieję, że to dziewczynka. Charles tak by chciał mieć córeczkę. Prędzej mnie diabli wezmą, niż zrezygnuję z polowań na jeszcze jeden sezon!

- Masz szczęście - powiedziała Harriet szczerze.

- Wiem. - I z normalną u niej kpina w głosie dodała; - Lepiej zabierz się do roboty, Harriet! Jeśli jeszcze trochę poczekasz na Piersa, okaże się, że jesteś za stara, żeby mieć dzieci. Ja tam nigdy nie wykrzesałabym z siebie tyle cierpliwości. Dlaczego nie znalazłaś sobie żadnego faceta? Można by się spodziewać, że do takiej piękności, że wielbiciele walą drzwiami i oknami!

Te słowa przypomniały jej, co James powiedział: że poślubiła pracę. Teraz, czując w dłoni ciepłą łapkę Jeremy'ego, przyznała, że chciałaby mieć dziecko. Lubiła dzieci, zawsze tak było. Tylko że ambicje zawodowe pochłonięły ją do tego stopnia, iż ciągle odsuwała myśl o dzieciach w bliżej nieokreśloną przyszłość. Teraz jednak uświadomiła sobie, że właściwie zostało jej niewiele czasu.

Gospodarze oprowadzali ją po domu, a Harriet notowała, szkicowała, wypytywała oboje o ulubione kolory. Zanim nadeszło południe, wszyscy byli zmęczeni, ale zadowoleni. Corinne cieszyło, że dostanie, czego chciała, Charles był szczęśliwy jak zawsze, kiedy żona była zadowolona, a Harriet nie posiadała się z radości, że ma wolną rękę.

Po lunchu poszli razem na łąkę, gdzie miało się odbyć święto majowe. Uroczystości zaczęły się punktualnie o trzeciej, otworzyła je pewna hrabina z sąsiedztwa. Harriet, jak ostrzegał Charles, ani się obejrzała, a już Corinne zapędziła ją do pracy przy swoim stoisku. W pół godziny wyprzedały wszystko do ostatniej sztuki i tym samym zasyliły kasę parafii okrągłą sumką, która miała przyczynić się do odrestaurowania organów. Corinne zagłębiła się w dyskusję z innymi członkami komitetu parafialnego, a Harriet odnalazła Jeremy'ego, który czekał na nią cierpliwie, i razem wyruszyli na spacer po jarmarku.

Jeździli na karuzeli, huścili się na huśtawce, łowili złote rybki, jednym słowem, bawili się doskonale. Dała się nawet wciągnąć w ostry pojedynek na samochodziki z oboma Jamesami, małym i dużym, co widząc, Corinne mruknęła do męża:

- Harriet staje się zupełnie innym człowiekiem, kiedy się wyluzuje.

- W jej wypadku to chyba trudne, biorąc pod uwagę, jakie sztywne stroje nosi...
  - Wiesz, co mam na myśli. Jest taka... spięta, że trzeba by nie lada eksperta żeby ją rozluźnić.
  - Innymi słowy - Jamesa - zauważył jej mąż sucho.
  - A czy ktoś lepszy przychodzi ci na myśl? Tylko że, z niezrozumiałych dla mnie powodów, na razie niewiele wskórał.
  - A skąd wiesz? Na jakiej podstawie sądzisz, że w ogóle próbował? Weź na wodze rozszałała wyobraźnię i nie zaczynaj znowu swatać. Nazywasz się Corinne Hervey, a nie Emma Woodhouse. Macie tylko jedną cechę wspólną - żadnej z was nie udało się postawić przed ołtarzem nawet jednej pary. Zresztą, jak ci wiadomo, Harriet jest już zajęta.
  - Ale przez kogo! Przez starego nudziarza Piersa Cayzera! Jest zdolna rozbić go w drobny mak.
  - Może lubi drobny mak.
  - Nie - Corinne potrząsnęła energicznie głową. - Tu chodzi o coś więcej, a ten cholerny James nie chce dać mi żadnych wskazówek, czego szukać.
  - I dobrze. Daj spokój, Corinne. To nie twoja sprawa.
  - Ale Harriet i James pasują do siebie jak ulał, chyba to widzisz? Jest inteligentna, żywiołowa i odplaca pięknym za nadobne. A wiesz, że słodkie lalki nudzą mu się szybko. Harriet to żywe srebro.
  - Może po prostu szukasz zemsty? - zakpił Charles. - Za to, że kiedyś poprowadził cię jak na postronku...
  - A kto obecnie dzierży jego koniec? Chcę tylko spłacić stary dług wdzięczności, który zaciągnęłam u Jamesa, gdy nas sobie przedstawił.
  - Więc spłacaj, ale się nie mieszaj, bo to cię tylko wpędzi w kłopoty.
- Corinne popatrzyła na Harriet z zadumą.

Harriet wróciła ze święta majowego tak ożywiona i beztraska, jak jej się od lat nie zdarzało. Tak świetnie się bawiła! I to na imprezie, za jakimi z zasady nie przepadała. Zajadała lody, pieczone jabłka i lizaki, wygrała na strzelnicy porcelanową kaczkę, na którą Jeremy patrzył tak tęsknie, że mu ją podarowała. Nie pamiętała, kiedy ostatnio było jej tak lekko na duchu. Piers nigdy by się nie zdobył na przejażdżkę samochodzikami w wesołym miasteczku. Czerwony ze wstydu, uznałby całą imprezę za niepoważną i burknąłby tylko, że zachowują się dziecinnie. James jednak ani przez chwile nie wydawał się dziecinny. Rzucił się w wir zabawy z entuzjazmem, który, jak sobie teraz uświadomiła, pozwolił jej odrzucić stare uprzedzenia i obawy, co ludzie pomyślą. Oto efekt lat u boku Piersa, pomyślała gorzko. Bez względu na to, co sądzi o Jamesie Alexandrze, jedno trzeba mu przyznać - ma fantastyczne poczucie humoru. Piers śmiał się tylko ze starych dowcipów.

Oczywiście, zaledwie to pomyślała, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Piers ma inne zalety. Jest uczciwy, lojalny, stały i... nudny, stwierdziła. Harriet, spójrz prawdzie w oczy. Piers ma w sobie tyle życia, co martwy żuk. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że przed poznaniem Jamesa Alexandra nie ważyłaby się na tak świętokradcze myśli. Z drugiej strony, zanim wkroczył w jej życie, wszystko było inaczej.

Wieczorem odbyła się potańcówka, z której dochód również był przeznaczony na cele dobroczynne. Harriet ofiarowała pięćdziesiąt funtów. W doskonałym humorze po fantastycznie spędzonym dniu pod wpływem impulsu założyła sukienkę z morskiej organdy. Kiedy spojrzała w lustro, nie wierzyła własnym oczom. Po pierwsze, w tym odcieniu zieleni było jej bardzo do twarzy. Falbanki pieniały się jak morski przyptływ, dekolt w łódkę odsłaniał szyję i kształtne ramiona. W rezultacie wyglądała młodziej, ładniej - i łagodniej.

- Harriet, wyglądasz jak księżniczka - Jeremy, któremu wyjątkowo nie kazano iść spać, nie posiadał się z zachwyty.

Pocałowała go w zadarty nos.

- Szkoda, że nie masz o trzydzieści lat więcej.

- Ja mam - zaofiarował się James Alexander, ale puściła jego słowa mimo uszu.

Nawet na chwilę nie schodziła z parkietu. Zazwyczaj tańczyła bardzo rzadko; nauczyła się tej sztuki jedynie dlatego, że była to konieczna towarzyska umiejętność. Piers nie tańczył, miał dwie lewe nogi, ale Harriet była niezłą tancerką. Cóż za rozkosz - odkryła - wirować po parkiecie w obłoku morskiej organdy w ramionach zwinnego partnera! Takiego jak na przykład Charles, który, co zaskakujące przy jego posturze, był bardzo dobrym tancerzem. Co za frajda - kręcić się i podskakiwać w rytm różnych walczyków i polek! Zwłaszcza że nigdy wcześniej tego nie robiła; przestrogi matki powstrzymały ją od chodzenia na potańcówki, gdzie mogłaby poznać młodych mężczyzn. Tak więc, gdy przy piosence Paula Jonesa znalazła się twarzą w twarz z Jamesem Alexandrem, była w na tyle dobrym humorze, że posłała mu radosny uśmiech.

- Królowa balu - zauważył.

- Świetnie się bawię.

- Widzę.

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś - rzuciła pod wpływem impulsu.

- A zatem zmieniłaś zdanie, że wolałabyś pojechać do piekła niż ze mną gdziekolwiek?

Uniosła podbródek.

- Powiedziałam to...

- Ze złości?

- Bo mnie sprowokowałeś.

- Więc zawrzyjmy pokój. Jeśli cię sprowokowałem, przepraszam, ale przyznasz, że na pewno nie byłem ani w połowie tak prowokujący, jak ty w tej sukience.

Uważaj, upomniała się Harriet. Pamiętaj, co mówił Bert. To kobieciarz. A jeśli chodzi o mówienie właściwych rzeczy w odpowiednim momencie, ma doświadczenie większe niż brzuchomówca. Mimo wszystko komplement sprawił jej dużą przyjemność, zwłaszcza że tańczył jak marzenie. W jej głowie zapaliły się sygnały ostrzegawcze, ale nie zwracała na nie uwagi. Chociaż raz chcę się dobrze bawić...

Potańcówka skończyła się o północy, ale zanim wypili drinka na dobranoc i, już w Fairlawns, omówili cały dzień, minęła druga. Nie wiadomo, czy spowodował to ostami kieliszek szampana, czy może cały beztrioski dzień, dość, że przy drzwiach do swego pokoju powiedziała do Jamesa:

- Zakopmy topór wojenny i podajmy sobie ręce. - Ujął jej dłoń, popatrzył przez długą chwilę i powiedział kpiąco:

- Co ty, Harriet, stać cię na więcej... - po czym, przechyliwszy jej głowę do tyłu, pocałował tak, że zapomniała o bożym świecie. - O, tak... na wiele więcej - mruknął, odrywając się od niej na chwilę, po to jedynie, by przyciągnąć jeszcze bliżej i pocałować jeszcze mocniej.

Pod Harriet ugięły się nogi. Piers nigdy jej tak nie całował. Nikt nigdy tak jej nie całował. Nie wiedziała, że to w ogóle możliwe. Dlaczego nie zaznała dotąd prawdziwego pocałunku?

Kiedy w końcu oderwał się od jej ust, Harriet nie była w stanie się ruszyć. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w granatowe tęczówki, które teraz pociemniały jeszcze bardziej. Ciągłe trzymając ją na uwięzi wzroku, otworzył drzwi jej sypialni i wypuścił z objęć.

- Dobranoc, Harriet - powiedział dziwnym, nieswoim głosem, lekko pchnął ją w otwarte drzwi, zamknął je i odszedł.

Długo, długo siedziała na krawędzi łóżka i wpatrywała się w przestrzeń. Nagle wstała i, poruszając się jak robot, zaczęła się rozbierać. Starannie powiesiła sukienkę na wieszaku, zmyła makijaż, wyszorowała zęby, założyła koszulę nocną, wślizgnęła się pod kołdrę, ułożyła na plecach. Pocałował mnie, pomyślała z niedowierzaniem. Jej żołądek wywijał piruety, więc przewróciła się na bok i zwinęła w kłębek. Ogarnęły ją dreszcze. Teraz nie mogła już ukrywać przed sobą, co sprawiało, że między nią a Jamesem powietrze się iskrzyło od pierwszego spotkania. Pociągał ją. Jej umysł, ten surowy, potężny cenzor, starał się zamienić pożądanie w niechęć. I teraz po raz pierwszy umysł ją zawiódł.

Zmusiła się, by głęboko zaczerpnąć tchu i przewrócić na wznak. Nic z tego, tłumaczyła sobie. To nie moja liga, jak mówił Bert. Nie jestem kobietą, z którymi zwykle się wiąże, zresztą czyż nie uciekałam gdzie pieprz rośnie na samą myśl o klatce? Że już nie wspomnę o fakcie, iż obecnie ma w ręku rajskiego ptaka imieniem Rina Cunningham. Podciąłby ci skrzydła... a ty lubisz latać wysoko. Nie, Harriet. Nie on. Po co ci kłopoty? Nie pamiętasz, przed czym cię ostrzegła matka? A to najgorszy z możliwych mężczyzn. Zatwardziały kobieciarz. Nie zaznałabyś ani chwili spokoju, cały czas czekałabyś na moment, aż cię porzuci chorą z miłości. Lepiej się wycofaj, zanim zapędzi cię w kozi róg. Nie, upomniała się stanowczo. Nadal kieruj się rozumem, nie emocjami.

Następnego ranka leżała bez ruchu, zmęczona nocą podczas której przespała zaledwie kilka godzin. Słyszac tętent kopyt, podeszła do okna. Podjazdem szli Corinne i James, prowadząc za uzdy dwa wierzchowce: ona - roślą kasztankę, on - smoliście czarnego ogiera. Spojrzała na zegarek: za kwadrans ósma. Za wcześnie, by wstawać. Wczoraj powiedziano jej, że w niedzielę śniadanie podaje się nie wcześniej niż o dziesiątej.

Leżała pogrążona w myślach, gdy wtem drzwi otworzyły się cichutko i w szparze pojawiła się jasna czupryna Jeremy'ego.

- Dobrze, że nie śpisz - stwierdził. - Przyszedłem zapytać, czy nie chciałabyś pójść zobaczyć Buttonsa. - Najwyraźniej dopiero co się obudził - nadal miał na sobie piżamę w prążki.

- Bardzo chętnie. - Wszystko jest lepsze niż jałowe rozważania o Jamesie Alexandrze.

- Więc wstawaj i się ubieraj.

- A ty? Niania już wstała?

- Sam umiem się ubrać - odparł tonem urażonej dumy.

- Och, nie wątpię - zapewniła pośpiesznie. - Przyjdź po mnie za pięć minut.

Szybko się umyła, włożyła płócienne spodnie Calvina Kleina, jasnoniebieską koszulę i taki sam sweter. Gdy Jeremy wrócił, szcztokowała włosy. Zauważyła, że włożył koszulę na lewą stronę, ale uznała, że lepiej przemilczeć ten fakt. - Chodźmy - zdecydował i wziął ją za rękę.

Buttons stał na padoku za kuchnią i ze stoickim spokojem przeżuwał trawę. Na widok Jeremy'ego zadarł łeb, zarżał radośnie i podbiegł truchtem. Był to typowy szetland, koloru błota, o długiej grzywie i jeszcze dłuższym ogonie.

- Czy nie jest piękny? - zapytał z dumą Jeremy. - Ma cztery lata - jest ode mnie młodszy. Jeżdżę na nim na oklep. Chcesz zobaczyć?

- A wolno ci?



- Tak, jeżdżę na nim cały czas. Ale musisz mnie podsadzić.

Na szerokim grzbiecie kuczka, z dłońmi wczepionymi w grzywę, Jeremy wyglądał jak zrosnięty z koniem, podobnie jak jego matka. Początkowo Harriet się przestraszyła, gdy kucyk ruszył szybkim klusem, ale zaraz się zorientowała, że malcowi nic nie grozi. Tutejsi mieszkańcy byli urodzonymi jeźdźcami.

Wyobraźnia natychmiast podsunęła jej wizję Jamesa Alexandra w koszuli i bryczesach, wyprostowanego w siodle jak struna, z włosami rozwianymi poranną bryzą... Stąd już tylko krok do ponownej analizy wczorajszego pocałunku i kolejnego zawrotu głowy. - Wszystko pięknie - syknął demon. - Ale jak myślisz, ile kobiet już tak całował... a potem siedł z nimi do łóżka? Przy jego reputacji zapewne było ich niemało... A ile z nich tu przywoził? Sądząc ze słów Corinne, całkiem sporo. Zresztą, nie zapomnij, że jest przyjacielem Piersa, więc w jego obecności musisz mieć się na baczności. Pocałunek pocałunkiem, ale za żadne skarby nie pozwól mu na nic więcej.

Nad wiek rozgarnięty sześciolatek zsunął się z końskiego grzbietu, wziął ją za rękę i oznajmił: - A teraz pójdziemy do Banty.

- Kto to?

- Moja kura. Mieszka tu, na padoku z Buttonsem, ale czasami chodzi do ogródka koło kuchni, na robaki... No, chodź.

Banty znajdowała się w samym środku jeżynowych zarośli, ale gdy Jeremy ją zawołał, podbiegła do niego owym charakterystycznym kurzym truchtem. Harriet pochyliła się zaciekawiona, akurat gdy Jeremy ostrzegł: - Nie, Harriet, na twoim miejscu bym tego... - Nie skończył. Kura podfrunęła i z całej siły dziobnęła Harriet w górną wargę.

- Au! - odskoczyła do tyłu i podniosła dłoń do ust. Bolało jak diabli. Krew zmieszała się ze łzami.

- Harriet! - wrzasnęła na całe gardło Jeremy i oddalił się krzycząc: - Nianiu! Nianiu! Banty udziobała Harriet! Krew jej się leje!

James był w stajni. Miał właśnie rozsiodłać konia, gdy dobiegły go krzyki chłopca. Rzucił lejce stajennemu i pobiegł w tamtą stronę. Jeremy wpadł prosto na niego.

- Hej, chłopcze, czemu tak krzyczysz? - objął go i uniósł.

- Banty... udziobała Harriet! Krew jej się leje...

- Gdzie jest?

- W ogrodzie warzywnym... Pochyliła się i Banty podfrunęła i ją udziobała... Miałem jej właśnie powiedzieć...

- Ta cholerna kura jeszcze wylądzuje w rosole - zagroził James i postawił chłopca z powrotem na ziemi. - Leć do niani i poproś, żeby przygotowała apteczkę. Ja idę po Harriet.

Harriet łała łzy. Ból był nie do zniesienia. Ostry dziób zagłębił się w delikatne ciało pod nosem, tuż nad górną wargę. Cała chusteczka była przesiąknięta, a pomimo to wciąż nie udało się jej zatamować krwawienia.

- Boże drogi, wyglądasz jakbyś miała za sobą piętnaście rund z Mikiem Tysonem - usłyszała nagle męski głos. - Pokaż no...

Delikatnie, ale stanowczo uniósł jej podbródek i otarł własną chusteczką najpierw krew, potem łzy, potem znowu usta. Nie otwierała oczu, ale i tak jego dotyk parzył jak ogień.

- Głęboko cię dziobnęła, ale to czysta rana. Chyba nie trzeba szyć. Jeremy zrobił głupstwo, prowadząc cię do tego cholernego ptaszyska - no, chyba że Banty chciała po prostu okazać ci swoje uczucia. Ostatnio ciągle prowokujesz pocałunki, Harriet.

Zacisnęła powieki, bo wiedziała, że kpiący ton głosu znajduje odbicie w jego oczach, a nie miała siły na słowne utarczki. Ukryła twarz w jego chusteczce i wymamrotała:

- Jeśli to miała być deklaracja uczuć, wołałabym zadowolili się intencją niż czynem... Au! - syknęła, bo mówienie sprawiało jej ból.

- Lepiej będzie, jak zadowolisz się mną - poradził James. - Nikt nigdy przeze mnie nie krwawił. Chodź, zajmujemy się tym.

W kuchni na stole między nianią i panią Moody, kucharką Herveyów, stała apteczka. Obie kobiety na widok Harriet głośno jęknęły.

- Co za przekłete ptaszysko! - zawołała niania. - Panicz Jeremy powinien był panią uprzedzić.

- Chciał to zrobić - mruknęła Harriet. - Banty okazała się szybsza od niego.

James usadził ją na krześle, zwilżył wacik jodyną i delikatnie wytarł okolice rany. - Trzymaj się, Harriet, będzie szczypało - ostrzegł i dotknął ciągle krwawiącego punktu. Z oczu znowu popłynęły jej łzy, ale wytrwała dzielnie, zmuszona patrzeć w jego atramentowe tęczówki. Starannie zakleił ranę plastrem.

- Na razie wystarczy, ale lepiej, żeby lekarz rzucił na to okiem - może jednak trzeba założyć szwy.

Pani Moody postawiła przed nią filiżankę herbaty. W tym momencie do kuchni wszedł bardzo skruszony Jeremy.

- Nie jest tak źle - wyciągnęła do niego rękę Harriet - To tylko małe zadrapanie.

- Nie gniewasz się na mnie? Powinienem był cię uprzedzić, że Banty nie lubi obcych.

- Na przyszłość mów o tym wszystkim, którym chcesz ją pokazać - podsunęła.

- Dobrze. Obiecuję.

- Bo jak nie, to dostaniesz na obiad pieczeń z kury - ostrzegł James.

- Nie zrobiłbyś tego, wujku, nie wierzę - stwierdził Jeremy z przekonaniem.
- Nie bądź taki pewien, chłopcze. Nie lubię, gdy ktoś kaleczy moje przyjaciółki.
- Czy Harriet jest twoją przyjaciółką?
- Znajomą - poprawiła Harriet.
- Wujek James ma ich wiele.
- Wiem - mruknęła.

Musiała pić herbatę przez słomkę. Herveyowie, zaalarmowani przez nianię, akurat weszli do kuchni. Byli przerażeni, ale Harriet nie zgodziła się, by ukarali syna.

- To właściwie nie jego wina. Zresztą już wystarczająco najadł się strachu.
- Mam nadzieję, że Piers nie pomyśli, że zrobiliśmy to celowo - zażartował Charles.
- Ani przez chwilę - zapewniła Harriet. - Wie, że zawsze dam sobie radę.

Po śniadaniu - na które zjadła tylko jajko na miękko, jak dzieci, a nie, jak inni, jajecznicę na bekonie, cynaderekach i pomidorach - zapytała Corinne, czy mogłaby jeszcze raz rzucić okiem na nowy dom, zanim po południu wróci do Londynu. W nocy przyszło jej do głowy kilka nowych pomysłów.

- Oczywiście, Charles cię zawiezie.

Za kierownicą jaguara czekał jednak James.

- Charles ma ważną rozmowę, niestety - rzucił beczelnie. - Poprosił, żebym go zastąpił - a w tym jestem dobry, o ile pamiętasz. Akurat w tej chwili przez frontowe drzwi wybiegł Jeremy.
- Mama mówi, że mogę z wami pojechać, jeżeli się zgodzicie. Zgodzicie się?
- Jasne. - Harriet kamień spadł z serca. - Chodź, usiądziesz mi na kolanach.
- Tchórz - dałaby sobie rękę uciąć, że James szepnął to na tyle cicho, żeby Jeremy go nie usłyszał.

W nowym domu wręczyła chłopcu ołówek i notes.

- Będziesz moim asystentem, dobrze?

James jak gdyby pojał aluzję.

- Zostawiam was, pracoholicy - zdecydował. - Idę się opalać na werandę. Krzyknijcie, kiedy będziecie gotowi do powrotu.

Harriet ogarnęła irracjonalne rozczarowanie. Zobaczyła go dopiero z okna na piętrze - wylegiwał się na werandzie z dłońmi za głową, z zamkniętymi oczami. Czowała, że nie może się dość na niego napatrzeć, szybko odeszła więc od okna i zajęła pracą.

Nie zauważyła dokładnie, kiedy Jeremy zniknął. Wiedziała tylko, że nagle podniosła głowę, a jego nie było. Krążyła po całym domu, wołała go po imieniu, przekonana, że bawi się z nią w chowanego. Dom był pełen szaf, schowków, kredensów... Idealne kryjówki dla małych chłopców. Niestety, zajrzała w każdy kąt, a Jeremy'ego nie było. Otworzyła okno i zapytała Jamesa, czy go nie widział.

- Nie... Pewnie gdzieś się czai. Jeszcze raz przeszukaj górę, a ja się zajmę dołem.

Nie było go ani tu, ani tu.

- Dobrze, idę do ogrodu - zdecydował James. - A ty sprawdź, czy aby na pewno nie przeoczyliśmy jakiejś szafy.

Znalazła tylko jedno drzwi, których wcześniej nie otwierała - masywne, solidne, na końcu małego korytarzyka obok kuchni. Otworzyła je i zobaczyła ciemne schody do piwnicy. Nie, żaden sześciolatek by się tu nie schował. Na wszelki wypadek wyciągnęła rękę do kontaktu, ale gdy go dotknęła, żarówka rozbłysła na moment i zaraz zgasła. Albo żarówka się przepaliła, albo wyskoczyły korki. Cholera! Trzymając drzwi jedną ręką, krzyknęła głośno: - Jeremy! Jeśli tam jesteś, wychodź! Nie wygłupiaj się! Cisza. - A potem, jak jej się zdawało, stłumiony chichot. - Jeremy! No, chodźże wreszcie, to już nie jest zabawne... - Najwyraźniej nie bał się ciemności, w przeciwieństwie do niej. Zła, puściła drzwi i postawiła nogę na najwyższym stopniu. - Jedziemy do domu! Chodź w tej chwili...

Cisza. I nagle całkowita ciemność. Drzwi, które bezmyślnie puściła, zamknęły się za nią bezszelestnie. Uderzyły ją przy tym w ramię tak mocno, że straciła równowagę i runęła w dół, waląc głową w poręcz. Wylądowała u podnóża schodów, nieprzytomna.

## 8

Kiedy się ocknęła, ciemność otulała ją nieprzeniknionym całunem. Usiadła powoli i dotknęła bolącej głowy. Ramię piekło niemiłosiernie, podobnie jak noga, ale gdy wstała ostrożnie, przekonała się, że niczego sobie nie złamała.

Co za idiotka z ciebie, Harriet! - skarciła się. - Skąd ci przyszło do głowy, że sześciolatek będzie się bawił w chowanego w piwnicy! Wygląda na to, że James Alexander pozbawił cię resztek zdrowego rozsądku. Trzymając się kurczowo drewnianej poręczy, wspięła się na szczyt schodów i po omacku znalazła klamkę. Ani drgnęła. Szarpnęła mocniej, aż zabolęła ją ramię. Przecież w zamku z drugiej strony nie było klucza, pamiętała to dokładnie, więc drzwi pewnie się zacięły ze starości. Jeszcze tego mi brakowało, pomyślała, czując narastającą panikę. Zacisnęła dłonie w pięści i waliła w drzwi, wołając o pomoc. Przerwała, zadyszana, i przycisnęła ucho do drzwi. Nic. Cisza. Była o krok od hysterii. Nie znosiła zamkniętych pomieszczeń, zwłaszcza gdy nie było w nich światła. To efekt metod wychowawczych matki - ilekroć Harriet była niegrzeczna, zamykała ją w schowku pod schodami. Na samo

wspomnienie rzuciła się na drzwi ze zdwojoną energią. Dlaczego nikt jej nie słyszy? I nagle sobie przypomniała, że drzwi do piwnicy nie znajdują się w samej kuchni, ale w korytarzu, jakieś dwanaście metrów dalej. Przecież sama ich nie zauważyła za pierwszym razem! O Boże! Głęboko zaczerpnęła tchu, starając się odzyskać panowanie nad sobą. James to nie jej matka, głucha na krzyki i błagania. Gdy tylko znajdzie Jeremego, obaj udadzą się na poszukiwania. Nie miała pojęcia, od jak dawna tu siedzi, było zbyt ciemno, by dostrzec tarczę zegarka, ale przecież nie dłużej niż kilka minut? Minut, które dłużyły się jak godziny. Już miała znowu uderzyć w drzwi, gdy jej uszu dobiegł odgłos, który zwabił ją do piwnicy - nie chichot, lecz pisk i tupot drobnych nóżek. To nie Jeremey - to szczury! W piwnicach zawsze są szczury! Wpadła w panikę. Waliła w drzwi na oślep, krzyczała i płakała, aż poczuła, że osuwa się w silne ramiona.

- Na Boga, Harriet! Co ci się stało?

- Zatrzasnęłam się w tej cholernej piwnicy, nie widzisz? I spadłam ze schodów! Nie słyszałeś moich krzyków?

- Dopiero teraz, kiedy wszedłem do kuchni. To bardzo grube drzwi.

- Co ty powiesz! - Czuję, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem.

- Chyba się trochę potłukłaś. Masz dzisiaj pecha, co?

- Oczywiście że się potłukłam. Spadłam ze schodów, uderzyłam się w głowę...

Uniosła rękę do czoła i poczuła krew na palcach.

- Moje biedactwo. - James ujął jej dłonie. - Skąd na Boga ci przyszło do głowy, że Jeremey schował się w piwnicy? Albo że sam otworzył takie ciężkie drzwi?

- Nie było go nigdzie, i wydawało mi się, że go słyszę, ale to były szczury... A potem drzwi się zatrzasnęły...

- Bo ich nie zabezpieczyłaś - pokazał przymocowany do ściany haczyk.

- Skąd miałam wiedzieć, że jest jakieś zabezpieczenie? - burknęła. - Zresztą myślałam tylko o Jeremym. A gdzie on jest?

- Na dworze. Zawędrował do zagajnika. Powiedziałem mu to i owo do słuchu, ale na twój widok dopiero się wystraszy!

Harriet spojrzała na siebie. Była zakurzona, miała zakrwawioną twarz. - A jak myślisz, jak ty byś wyglądał, gdybyś spadł ze schodów? - zapytała zaczepnie, choć głos drżał. - Waliłam w te cholerne drzwi tak długo... Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz! - I w tym momencie, o wstydzie, zalała się łzami.

- Harriet, Harriet... - jego głos działał jak balsam na jej rany. Ponownie otoczył ją ramionami; oparła głowę na jego barku. Dotyk silnych palców we włosach sprawił, że straciła resztki opanowania i rozplakała się głośno. Miało to więcej wspólnego z wewnętrznym zamętem niż z bólem po upadku. Dla Harriet łzy to był rzadki luksus, ale w opiekuńczych ramionach Jamesa Alexandra mogła sobie na nie pozwolić.

- Biedactwo - powtórzył i tym razem w jego głosie nie było drwiny, tylko czułość. - Zaraz zabiorę cię do domu. Tutaj nie ma jeszcze doprowadzonej wody, ale w ogrodzie jest poidło dla ptaków; zobaczę, czy woda jest jako tako czysta.

Zaniósł ją do kuchni, posadził na stole, podał chusteczkę, ściągnął z szyi krawat i wyszedł. Gdy wrócił, przyłożył mokry krawat do jej czoła. I po raz drugi tego dnia, z bolesną wręcz czułością, otarł jej twarz z łez i krwi. Widząc jego grymas, Harriet poczuła się w obowiązku wytłumaczyć swoje zachowanie.

- Nie znoszę zamkniętych pomieszczeń - wyznała cicho. - To chyba uraz z dzieciństwa. Matka co prawda nie uznawała kar cielesnych, ale zamykała mnie w schowku pod schodami, gdy byłam niegrzeczna.

- Ja się boję tłumów... Kiedy byłem mały, zgubiłem się w tłoku i do dzisiaj unikam zbiegowisk. No, dobrze, tylko tyle możemy tutaj zrobić. Zabierzemy cię do lekarza, na wypadek, gdybyś miała wstrząs mózgu. Nie widzisz podwójnie ani nic takiego?

- Nie, ale głowa mnie boli.

- Masz potężnego siniaka na lewej skroni. - Pokręcił głową. - Piers uzna, że bardzo źle cię potraktowałem. Pewnie nigdy więcej cię nigdzie ze mną nie puści. - Mówił to ponuro, ale Harriet wyczuła złośliwość w jego głosie.

- Jakież inne obrażenia?

- Uderzyłam się w ramię, gdy spadałam, to wszystko.

- Zobaczmy... - odwrócił ją i dotknął jej pleców silnymi, smukłymi palcami.

- Au!

- Boli?

- Trochę - skłamała. W rzeczywistości tak gwałtownie reagowała na jego dotyk.

- Kości są całe, ale niestety zarobiłaś pewnie trochę pięknych siniaków. Dobrze, że masz na sobie spodnie. - I znowu ukryte żądło. - Ale czyż nie jest tak zawsze?

Już otwierała usta, by odpowiedzieć coś złośliwie, gdy znowu wziął ją na rękę.

- Puść! Pójdę sama!

- Uspokój się, jeszcze chwila.

Gdy Jeremey zobaczył, jaka jest poobijana i zakrwawiona, zalał się łzami.

- Och, Harriet! Znowu coś ci się stało?

- I to wszystko twoja wina - pouczył go James surowo. - Na przyszłość racz nas uprzedzić, gdy zechcesz pójść

sobie na spacer.

- Przepraszam - chlipnął. Miał łzy w oczach. - Chciałem się tylko pobawić w ogrodzie...
- Bardzo pięknie, o ile dorośli o tym wiedzą. A teraz otwórz drzwi i zachowuj się grzecznie.

Charles i Corinne pobledli na jej widok.

- Brak mi słów, Harriet - wystękała Corinne. - Co za pechowy weekend.

Jeremy'ego wysłano do łóżka, mimo protestów Harriet, że w rzeczywistości zawiniła ona, głupotą i niezajomością dziecięcych zwyczajów. Nie zdradziła nikomu prawdziwej przyczyny. A prawdziwa przyczyna zaniósł ją własnoręcznie na górę, ułożyła na łóżku i przygotowała kąpiel. W łazience po raz pierwszy zobaczyła, jak ucierpiała jej twarz: prawy policzek pokrywała płatanina zadrapań na tle fioletowego siniaka, na lewej skroni wyrósł imponujący guz, a jeszcze plaster na wardze... Wyglądała jak maltretowana żona.

Gdy odpoczywała w kąpeli, Corinne zadzwoniła po lekarza.

Okazało się, że ma całe kości i ani śladu wstrząsu mózgu, nie trzeba też szyć rany na ustach, jednak dzień w łóżku dobrze jej robi. Lekarz ponownie oczyścił rany, posmarował je maścią antyseptyczną, zaaplikował szczepionkę przeciwężcową „tak na wszelki wypadek” i podał jej środek uspokajający, po którym spała do siódmej. Nadal obolała, napiła się herbaty i przyjęła skruszonego Jeremy'ego.

- Proszę, nie złość się na mnie - poprosił błagalnie. Dolna warga zatrzęsała się niebezpiecznie.
- Nie jestem zła, ale obiecuj mi, że na przyszłość nie będziesz tak zniknął.
- Obiecuję. Obiecałem już mamie, tacie i wujkowi Jamesowi... Był na mnie bardzo zły. Naprawdę już nigdy tego nie zrobię, naprawdę.
- To dobrze.

Po chwili Jeremy zaproponował znacznie radośniejszym tonem:

- Zagramy w coś? Może w Chińczyka?
- Chcesz wykorzystać chorą? O, nie - James zajrzał z korytarza. - Niania czeka na ciebie z gąbką, młody człowieku. Jutro możesz znowu odwiedzić Harriet.
- Pocałuj mnie na dobranoc - poprosiła i nadstawiła małemu policzek. Z własnej woli dodał uścisk niedźwiadka.
- Wytłumaczyłem Piersowi, że nie ma potrzeby, by gnał tu na złamanie karku - oznajmił James bez żadnych wstępów. - Powiedziałem, że musisz leżeć przez dwa dni i że Charles i Corinne chętnie udzielą ci gościny. Chciał wysłać po ciebie karetkę na sygnale. Jutro zadzwonię do firmy i powiem, że nie przyjdiesz przez kilka dni.
- Nie leżę na łożu śmierci!
- Nie, ale jesteś w szoku. Z jakiego innego powodu akurat ty, ze wszystkich kobiet, zalałabyś się łzami? - Uśmiechnął się. - Teraz wiem, co zrobić, kiedy za bardzo rozrabiasz. Zamknę cię w schowku!
- Spróbuj tylko!

Jeszcze szerszy uśmiech. - No, to bardziej w twoim stylu! Widzę, że wraca ci dobry humor. - Bez ostrzeżenia przysiadł na łóżku. - Uśmiechnij się - polecił. - Pewnie będziesz okropną rekonwalescentką, ale nie masz innego wyjścia, więc rób dobrą minę do złej gry.

Ujął jej twarz w dłonie, obrócił delikatnie. - Dwa cale wyżej i trzeba by szyć - stwierdził spokojnie. - I dobrze, że nie wybierasz się do wróżki, żeby ci czytała z dłoni... Tyle tu zadrapań, i połamane paznokcie. Mówiąc krótko, nie tak elegancka jak zwykle... za to o wiele przystępniejsza.

- Nie zauważyłam, byś dotychczas trzymał się z daleka. - Powiedziała to, zanim zdążyła się zastanowić.

Uśmiechnął się jak zadowolony z siebie kot.

- Nigdy nie umiem oprzeć się wyzwaniu.

Ich oczy się spotkały i żołądek Harriet znowu wywinął kozła, ale James puścił jej rękę i wstał. - Teraz zjesz kolację i zażyjesz tę czerwoną tabletkę. Będziesz po niej dobrze spała. Piers kazał mi także dopilnować, czy ci niczego nie brakuje. Masz jakieś specjalne życzenia?

- Nie, dzięki.
- Więc życzę ci dobrej nocy.

Nie była jednak dobra. Harriet zjadła lekkostrawną kolację, tosta z jajecznicą, czytała jeszcze trochę, zgasiła lampę i zasnęła.

I śniła koszmarny sen. Znowu była w piwnicy, tyle że skrępowana jak baleron, a po niej biegały szczury. Czuła ich ostre pazurki, widziała czerwone ślepki, słyszała piski, długie wąsy łaskotały ją nieprzyjemnie, nad wszystkim zaś górował wysoki głos matki: - A nie mówiłam? Nigdy nie ufaj mężczyźnie. Im chodzi o jedno - zniewolić kobietę emocjonalnie. Widzisz, do czego cię to doprowadziło? Jesteś w więzieniu. A właśnie przed tym chciałam cię ustrzec!

Otworzyła usta, chcąc wszystkiemu zaprzeczyć, ale nie mogła wykrztusić ani słowa, nie mogła krzyknąć, choć starała się ze wszystkich sił. A potem silne ręce dosięgły ją poprzez ciemność. Przerazona, rzuciła się jak opętana, chcąc się uwolnić, aż nagle poczuła, że już nic jej nie krępuje, koszmar znika. Ocknęła się w łóżku, na klęczkach, zaplątana w pościel, mokra od potu, kurczowo zaciskając dłonie na połach jedwabnego szlafroka Jamesa Alexandra.

- Już dobrze - uspokajał. - To tylko zły sen.

Harriet głęboko nabrała tchu. Wreszcie zdołała się odezwać:

- Śniło mi się, że znowu jestem w piwnicy... ze szczurami...

- Opóźniona reakcja na stres.

- Bardzo hałasowałam?

- Na tyle, że się zbudziłem, ale śpię czujnie jak kot.

- Przepraszam... To było takie straszne...

- Jak wszystkie koszmary... - Odgarnął wilgotne włosy z jej czoła. - Jesteś mokra od potu. Masz czystą koszulę?

- Tam, w szufladzie...

- Więc idź się przebrać, a ja się zajmę pościeleniem. Z trudem odkręciła prysznic oklejonymi plastrem rękami, ale jakoś sobie poradziła. Po pięciu minutach w zimnym strumieniu poczuła się lepiej, zwłaszcza gdy założyła przyjemnie chłodną satynową koszulę nocną. Na widok swego odbicia w lustrze odwróciła się z niesmakiem.

W sypialni przekonała się, że James zmienił jej pościel. Czysty len przyjemnie chłodził ciało.

- Przepraszam, że sprawiłam ci tyle kłopotu - szepnęła, nie patrząc na niego. - Zazwyczaj nie jestem taka...

- ...ludzka? Czyżbyś słyszała, że się uskarżam?

- Nie, ale...

- Harriet, nawet maszyny się psują, a w tobie, choć nie chcesz się do tego przyznać, nadal funkcjonuje czynnik ludzki, i Bogu dzięki.

Nie odrywała spojrzenia od swoich rąk. Machinalnie skubała plaster.

- Zostaw to. - Usiadł na łóżku i przygwoździł jej dłonie do pościeli. Dostrzegła małą bliznę na środkowym palcu opalonej prawej dłoni.

- Wszystko w porządku? Demony uciekły?

Skinęła głową.

- Chcesz jeszcze jedną tabletkę?

Zaprzeczyła.

- Czy bolą cię usta, kiedy mówisz?

Znowu przeczący ruch głową.

- No to dobrze - powiedział i pocałował ją. Miał to być spokojny, przyjazny pocałunek, ale gorące uczucia wzięły w niej górę i otworzywszy zachłannie usta, przywarła do niego gwałtownie. Zapomnieli o bożym świecie. Dla Harriet istniał jedynie jego język i usta, i płomień, które w niej wzniecały. W przypiływie namiętności porzuciła wszelkie obawy i zahamowania, całowała go z pasją, jakiej dotychczas nie doświadczyła. Z Piersem nigdy nie ztracała się do tego stopnia, ale też Piers uczył się seksu z podręczników, a James Alexander urodził się z całą wiedzą w jednym palcu... Oderwał się od jej ust po to jedynie, by pieścić wargami szyję i piersi, bo zdążył zsunąć z nich satynową koszulę. Harriet wyprężyła się w łuk. Gdy objął wargami różową brodawkę, jęknęła z rozkoszy po raz pierwszy w życiu. James oprzytomniał. Podniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy. W granatowych jeziorach widziała odbicie rumieńca na swojej twarzy.

Patrzyli na siebie w milczeniu. W kąciку jej ust pulsował drobny mięsień, wargi były opuchnięte i obolałe. Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. Zdecydowanym ruchem odkrył ją kołdrą i zgasił lampę. Poczuli, jak wstaje, słyszała, jak zamykają się za nim drzwi. Wyszedł.

A ona... Nie wiadomo kiedy Harriet Hilliard, która zawsze wiedziała, co robi, znalazła się na rozstaju, w obcej krainie. Nie miała pojęcia, co robić, dokąd pójść. Wiedziała tylko, kto był tego powodem. Bezlitosny kobieciarz. Teraz przekonała się, co się kryje za jego zmysłowym urokiem: czułość i troskliwość, na myśl o których chciało jej się płakać. I to właśnie zrobiła.

Rano miała podkrążone, zapuchnięte oczy, co wzbudziło ciekawość Corinne.

- Nie podoba mi się twój wygląd. Boli cię coś?

- Nie - skłamała Harriet.

- To pewnie reakcja na wczorajsze wydarzenia... - Corinne urwała na chwilę, ale zaraz zapytała najdelikatniej jak umiała: - Czy coś jest nie tak?

Harriet odwzajemniła jej spojrzenie. Sama przez to przeszłaś, domyśliła się. Mogłabyś mi doradzić, co robić. Wiedziała jednak, że nigdy nie zdobędzie się na to, by zadać pytanie. Tak ją wychowano.

- Nie - skłamała ponownie. - Reakcja na stres, i tyle. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po wyjściu Corinne, był telefon do Piersa z prośbą, żeby po nią przyjechał.

- Oczywiście, skarbie. Natychmiast. Będę tam za kilka godzin. Jesteś bardzo poraniona?

- Nie, to tylko siniaki i zadrapania, ale wolałabym być w domu. Znasz mnie, wolę być u siebie, choć Corinne jest troskliwa jak anioł. - W domu będzie mogła w spokoju przemyśleć całą sytuację.

Corinne nie uległa tak łatwo.

- Na pewno? Wiesz przecież, że możesz u nas zostać, jak długo zechcesz.

- Jesteś bardzo uprzejma, ale już wystarczająco dużo sprawiłam wam kłopotów.

- To wszystko nasza wina...

- O, nie, sama ściągnęłam sobie cały kram na głowę. - I to jaki, pomyślała. - Nie zmieniałam zdania, chcę urządzić wasz dom, potrzebuję tylko kilku dni, żeby wziąć się w garść i zabrać do pracy.

Corinne na odległość wyczuwała uparty charakter, więc dała za wygraną, nie zapytała także, czemu Harriet fatyguje Piersa, skoro James mógłby ją odwiedzić. Coś się stało. James był nieswój, wyszedł wcześniej rano. Ciekawość zżerała Corinne, ale wiedziała, że z Harriet niczego nie wyciągnie. Gdzie się podziała radosna, beztraska dziewczyna, która jeździła na karuzeli i przetańczyła pół nocy? Najwyraźniej, spekulowała, James wykonał niewłaściwy ruch. To jednak nie w jego stylu, nie popełnia takich błędów, jeśli chodzi o kobiety. Jest na to zbyt doświadczony. Jako swatka z zamięłowania od razu zauważyła napięcie między nimi. Wiec dlaczego z iskier nie powstał ogień? Albo kto go ugasił? Lodowata Harriet? Na Boga, dlaczego? Miała ochotę zapytać: Chyba nie powiesz mi, że wolisz baranka - Piersa od Jamesa - lwa?

- Nie pojmuję tego - poskarżyła się mężowi. - Byłam święcie przekonana, że coś ich łączy.

- Raczej chciałaś, żeby tak było. Zawsze doszukujesz się we wszystkim nie istniejących podtekstów! Ostrzegałem przecież, żebyś się nie wtrącała.

- Przecież się nie wtrącałam. Ja po prostu... postawiłam ich wzajemnie na swojej drodze.

- Więc któreś się potknęło i upadło - chyba Harriet. Nie przypominam sobie, by James kiedykolwiek się potknął.

Corinne zagryzła dolną wargę.

- No, no...

Harriet nie wychodziła ze swojego pokoju aż do przyjazdu Piersa. Bardzo się przejął stanem, jak to określał, „jej biednej buzi”, i użalał się nad nią, aż miała ochotę wrzeszczeć, ale że stanowił jedyną linię ratunkową nad przepaścią, jaką stało się jej życie, zacisnęła zęby i milczała. Chciała tylko uciec.

- A gdzie stary James? - zainteresował się Piers.

- Jeździ konno - poinformowała Corinne.

- No cóż... pewnie zrobił wszystko, co w jego mocy. Dobrze, że tu był, w sytuacji kryzysowej James jest wręcz niezastąpiony... Charles też, ma się rozumieć - dodał pospiesznie, przypomniawszy sobie, że znajduje się domu człowieka, z którym uczył się w Eton.

- Nie ma mowy o żadnej sytuacji kryzysowej - syknęła Harriet przez zęby. - To był głupi wypadek, który zresztą sama spowodowałam. Charles i Corinne cudownie się mną zajęli.

- Dwa wypadki - uściślił Piers pedantycznie. - Najpierw kura, potem piwnica...

- Piers, i bez tego mamy wyrzuty sumienia... - jęknęła Corinne. - Jeremy boi się wytknąć nos z kryjówki...

Pojawił się jednak, gdy Piers pomagał Harriet wsiąść do samochodu. Spuścił nos na kwintę.

- Przykro mi, Harriet - szepnął cichutko. - Naprawdę nie chciałem, żeby coś ci się stało...

- Mnie też jest przykro - że musimy się rozstać. Ale wkrótce znowu się spotkamy, bo pomogę wam urządzić nowy dom.

Malec odetchnął z ulgą. Uściskał ją na pożegnanie i pocałował w policzek, żeby nie urazić wargi. Nie patrzył jednak na Piersa, cały czas chował się za spódnicą matki.

Harriet uspokoiła się - wygląda na to, że uda jej się wyjechać bez spotkania z Jamesem. Akurat wtedy na podjazd wbiegł truchtem wielki czarny koń. Piers błyskawicznie wyskoczył z samochodu, złapał Jamesa za rękę i dziękował mu wylewnie za opiekę nad Harriet. W końcu ponownie usiadł za kierownicą. Harriet w duchu zaklinała go, by już jechał, ale James zdążył jeszcze wsadzić głowę przez okno i powiedzieć: - Do widzenia, Harriet. Jestem przekonany, że twoje rany zagoją się bez śladu.

Dumnie odwzajemniła jego spojrzenie.

- Nic mi nie będzie - oznajmiła lodowato.

Gdy wjechali na autostradę M4, stwierdziła. - Wiesz, tak sobie pomyślałam... Właściwie James nie musi już pomagać mi w firmie. Penthouse pani Harcourt-Smith jest skończony, a gdy dojdę do siebie po tym... incydencie, sama zajmę się wszystkim.

- Nie martw się - odparł Piers radośnie. - Wybiera się z Riną na Bermudy, nie mówił ci o tym? Nie będzie go tu przez co najmniej sześć tygodni. Kazał ci przekazać, że współpraca z tobą była krótka, ale pouczająca, zresztą wie, że jesteś samowystarczalna i sama sobie grasz do tańca.

Dopiero usłyszawszy od Piersa, że Jamesa nie ma już w Anglii, odważyła się wrócić do sklepu. Powitał ją chór troskliwych pytań i powszechne przygnębienie wywołane wyjazdem Jamesa Alexandra.

- Będzie mi go brakowało - stwierdziła smętnie Evelyn. - Dobrze się z nim pracowało...

Nawet panna Judd wyraziła żal:

- Szkoda - burknęła. - Był nawet niegłupi.

Nie, za to że mnie zrobił kompletną idiotkę, pomyślała Harriet. Złapała się jednak na tym, że i ona za nim tęskni, i to bardziej, niż dotychczas tęskniła za kimkolwiek. Rankiem już nie zrywała się radosna i ciekawa, co przyniesie nowy dzień. Brakowało jej jego wysokiej postaci kręcącej się po sklepie, wspólnych debat nad najodpowiedniejszym odcieniem, słownych utarczek, jego poczucia humoru, jego energii, jego witalności. Przede wszystkim jednak brakowało jej po prostu jego obecności.

Rzuciła się więc w wir pracy. Wynurzała się zeń tylko po to, by spać i spotykać się z Piersem. Postanowiła, że Sheringham Court będzie uwieńczeniem jej dotychczasowej kariery. James Alexander nie pożałuje, że ją polecił.

Kiedy pokazała Herveyom swoje projekty, nie ukrywali zachwyty.

- Harriet, to boskie! - cieszyła się Corinne. - James miał rację. Nie mogę się doczekać, kiedy zaczną się prace... A kiedy właściwie?

- W przyszłym tygodniu, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Nic a nic... Ile ci to zajmie?

- Osiem, maksimum dziesięć tygodni.

- Świetnie. James wróci do tego czasu - wiesz, że jest na Bermudach z Riną? I przyjdzie na przyjęcie. Oczywiście, będziesz gościem honorowym.

Piers był zadowolony, że Harriet pracuje dla Herveyów. - To sympatyczna para... chociaż uważam, że powinni być bardziej surowi dla dzieci. Zwłaszcza dla tego młodszego, przez którego miałaś przykrości...

- Piers, to dziecko, zresztą przemiłe. A poza tym, to raczej on miał przykrości przeze mnie. Oddalił się i tyle. Sześciolatkom się to zdarza.

- Doprawdy? - zapytał tonem, który sugerował, że jego dzieciom by się to nie zdarzyło.

Przez czerwiec i lipiec harowała jak wół, tak że na początku sierpnia, zgodnie z obietnicą, dom był gotów. Ledwie zaczęły się wakacje, Herveyowie wyjechali do Wirginii, do rodziców Corinne, tak więc Harriet miała nadzorować ostateczną przeprowadzkę. Gdy wszystko było gotowe, każdy mebel ustawiony gdzie należy, każda sztuka porcelany i kryształu wyeksponowana tak, by wyglądała najkorzystniej, każdy obraz umieszczony dokładnie w tym, a nie innym miejscu na ścianie, Harriet postanowiła zrobić Corinne niespodziankę i wypełnić piękne chińskie wazy kwiatami. Ucieszą się, gdy powita ich dom pachnący latem. Płądrowała ogród i szklarnię przy starym domu i taszczyła wonne bukiety do Sheringham Court. Przyjęcie miało się odbyć w przyszły weekend, ale już postanowiła, że nie pójdzie. Myśl o Rinie Cunningham u ramienia Jamesa Alexandra bolała jak uderzenie bicia, a Harriet bynajmniej nie była masochistką.

Osiągnęła kolejny kamień milowy w swej podróży ku samopoznaniu. Nie wiedziała dotychczas, że potrafi być zazdrosna, o ile tym mianem można określić straszliwe męki, które cierpiała. Jej wola była jednak silniejsza. Co z tego, że umiera z pragnienia, by zobaczyć tę męską twarz o kpiącym uśmiechu, zagubić się w spojrzeniu granatowych oczu? Nie przyjmie tego, co jej proponuje, bo odbyłoby się to na jego warunkach, a jako nieodrodna córka swojej matki nie zapomniała nauk, których wysłuchiwała przez osiemnaście lat. Matka ostrzegała ją przed całkowitym oddaniem, więc choć po długim dniu pracy pożądanie nie dawało jej zasnąć, mówiła „nie”. Nie będzie jego niewolnicą. Nie, nie, i jeszcze raz nie!

Ułożyła kwiaty w dwóch ostatnich wazonach i zaniósła je do głównej sypialni. Był to najpiękniejszy pokój w całym domu, z panoramicznym oknem na całą ścianę. Harriet wymyśliła go sobie w bieli i pałowym różu. Wielkie, robione na zamówienie łożo zarzucała poduchami w tych kolorach, w oknie upięła identyczne zasłony. Na podłodze pieścił stopy mięsisty dywan. Ustawiła jeden wazon na uroczym amerykańskim sekretarzyku z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, który Corinne dostała od babki; w jej rodzinie przechodził z pokolenia na pokolenie. Drugi wyglądał najlepiej na toalecie, oświetlonej lichtarzami, sprytnie zmienionymi w lampy elektryczne.

Przysiadła na chwilę na wyściełanym stołku przy toalecie - zdobiło go kolejne haftowane cudeńko Corinne - i zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze. Była zmęczona, znowu schudła. Pod oczami miała worki - efekt bezsennych nocy. Wróciła do punktu wyjścia sprzed pół roku. Fizycznie. Uczuciowo przeszła długą, bolesną drogę.

Dostrzegła za plecami łożko i przez chwilę popuściła wodze fantazji. Jakby to było - kochać się z Jamesem Alexandrem? Zaznała dotąd miłości tylko z Piersem, ale wiedziała już, że James dostarczyłby jej rozkoszy, o jakich jej się nie śniło. Dostała już małą próbkę... Zazdrościła Rinie Cunningham całym sercem, lecz przestrogi matki, powtarzane dzień w dzień przez siedem dni w tygodniu, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, co godzinę, co minutę przez pierwszych osiemnaście lat jej życia, uczyniły ją więźniem własnych obaw. Co więcej, obiecała Piersowi, że za niego wyjdzie, a nigdy dotąd nie złamała słowa.

Gdy wróciła do miasta, okazało się, że nadeszła pora spełnienia obietnicy.

- Harriet najdroższa, nigdy nie zgadniesz, co się stało! Paula złożyła pozew o rozwód z powodu niezgodności charakterów! James dzwonił do mnie z Bermudów, ostrzegł, że mam się tego spodziewać, widział ją w Hamilton z kochankiem. Zdaniem prawników odzyskam wolność już za sześć tygodni! Czy to nie wspaniale? Nie posiadam się z radości! - Urwał widząc jej minę. - Kochanie, wybacz, miałem powiedzieć ci to delikatnie, ale straszna ze mnie niezdara. James mówił, że się zdenerwujesz. Szczerze mówiąc, obawiałem się już, że lada dzień mi powiesz, że masz dosyć czekania. Wydawałaś się taka zła... Wiem, Paula zgodziła się na rozwód, ale nic nie robiła w tym kierunku. Myślałem już, że to jej kolejna gierka, dlatego zwierzyłem się Jamesowi. Wiedziałem, że coś na to poradzi. Poprosimy go na świadka, dobrze? Wiem, nie przepadasz za nim, ale ten jeden raz...

Harriet zacisnęła powieki i wbiła paznokcie w dłoń tak mocno, aż poczuła ból. Dlaczego? - krzyczała bez słów. Dlaczego mi to zrobił skoro wie, że to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę? Czy to wyrzuty sumienia, bo kiedyś podsunął Piersowi Paulę? A może chce mnie ukarać za to, że odważyłam się marzyć o nim, nie o Piersie? Miałam rację że się wycofałam. Nie zależy mu na mnie. Sprawdzał tylko, czy będę wierna Piersowi. Chodzi mu - zawsze mu chodziło - jedynie o to, by Piers nie popełnił kolejnego błędu. Ale w głębi ducha przywdziała żalobę. Jak mógł?

I to on nazwał mnie oszustką...

9

Jednak poszła na przyjęcie. Nie sprawi mu dodatkowej satysfakcji, nie pozwoli, by uznał ją za tchórza. Pokaże mu, w co wierzy: w dotrzymywanie danego słowa i branie odpowiedzialności za swoje czyny, bez względu na cenę. Przede wszystkim jednak udowodni mu, że on i jemu podobni nie mają nad nią władzy. I żeby się upewnić w swoim postanowieniu, odwiedziła matkę.

Tym razem pani Hilliard poznała córkę od razu i odśpiewała stary hymn pochwał pod jej adresem, co dobrze zrobiło cierpiącemu ego Harriet. Spędzili razem całe przedpołudnie, zjadli obiad, poszli na spacer do parku... Po raz pierwszy od dłuższego czasu matka przez cały czas zachowała jasność umysłu. Gdy Harriet miała wyjeżdżać, pani Hilliard przytuliła ją mocno.

- Tak się cieszę, że jesteś kimś, że odniosłaś sukces. Przez ciebie spełniły się wszystkie moje marzenia. Jestem z ciebie taka dumna, i tak się cieszę, że poszłaś drogą, którą ci radziłam... - I z oczami rozświetlonymi miłością, jakiej Harriet nigdy w nich nie widziała, dodała: - Jesteś zadośćuczynieniem za moje życie...

A co z moim życiem, mam? - tłukło się jej po głowie uporczywe pytanie, gdy wracała M1 do Londynu. - Co z pragnieniami, o których nigdy nie zająknęłaś się ani słowem? Nauczyłaś mnie unikać mężczyzn, ale nie uczuć, które budzą. Jak mam sobie z tym poradzić? Nigdy nie przypuszczałam, że się... - co? Obawiała się użyć słowa „miłość”. Że będę zafascynowana mężczyzną, poprawiła. Jakimś sposobem zawrócił mi w głowie. Zdaję sobie sprawę, że nie mogłam wybrać gorzej, choć właściwie nie miałam tu nic do gadania, bo jedna kobieta nigdy mu nie wystarczy, a ja wiem, że chcę być tą jedną jedyną. No cóż, pomyślała, skracając w Park Lane. Dobrze chociaż, że ty jesteś szczęśliwa, mam. Jedna osoba to już dużo.

Piers zawiózł ją do Gloucestershire późnym sobotnim popołudniem. Zaproszono ich na weekend, podobnie jak Jamesa i Rinę. Harriet od razu wykreśliła się rzekomo bardzo ważnym służbowym spotkaniem w piątek i obiadem w sobotę. Nie chciała zaplamiać krwią nieprzyzwoicie drogich nowych dywanów Corinne uznała, że im mniej czasu tam spędzi tym lepiej. Kilka godzin w zupełności wystarczy.

Wieczorem od razu pożałowała, że jednak przyjechała. Wystarczyło, że raz zaledwie spojrzała na Rinę Cunningham w fantastycznie obcisłej kreacji z kremowego jedwabiu... Poczuli się jak Kocpiuszek, choć wyglądała doskonale w sukni od Belville Sassona: szyfonowym cudeńku w kolorze jej oczu. Wybrała właśnie tę suknię, bo maskowała jej chudość, biodra wystające jak wieszaki, zapadnięte obojczyki... Starannie nałożyła makijaż, obficie uróżowała policzki, zawiesiła w uszach długie kolczyki. Wiedziała jednak, że to tylko fasada; reszta budowli chwiała się w posadach. Oby dotrzeć do końca przyjęcia.

Corinne, w bardzo już widocznej ciąży, wystrojona w bajecznie korową szatę, wzięła Harriet pod rękę i zaprosiła na „rundę honorową”, przedstawiając ją wszystkim znajomym jako „czarodziejkę, autorkę piękna, które widzicie wokół”. Harriet posłusznie szła za nią, nieświadoma niczego oprócz obecności Jamesa Alexandra i Riny u jego boku. Stali w przeciwległym krańcu salonu, utrzymanego w różnych odcieniach zieleni, od malachitu po pistacjowy; Harriet uznała, że właśnie ten kolor najkorzystniej uwypukli urodę biało-złotych mebelków w stylu Ludwika XVI i oryginalnego dywanu z Aubusson. Nie widziała Jamesa od tygodni, podczas których skreślała w kalendarzu każdy kolejny dzień bez niego.

Gdy podeszły, uśmiechnął się szeroko:

- Harriet...

Zmusiła się, by odwzajemnić jego spojrzenie, które zdawało się przewiercać ją na wskroś. Powiedział jednak tylko: - Wszystkie rany się zabiły, jak widzę. Rzeczywiście szybko dochodzisz do siebie, ale właściwie powinienem był się dotąd zorientować, że popełnia błąd, kto nie docenia twoich talentów w każdej dziedzinie. Gratuluję, przeszłaś samą siebie. - Przedstawił ją Rinie, która, przekonawszy się, że Harriet nie stanowi dla niej konkurencji, nie okazała najmniejszego zainteresowania.

Obserwując Jamesa i Harriet, Corinne poczuła się nieswojo. Słowa wydawały się niewinne, wiedziała jednak, że James ma co innego na myśli, że chłocze nimi Harriet jak biczem, a ta liczy każde uderzenie. Piers, oczywiście, uśmiechał się promiennie. Boże, jak to możliwe, że niczego nie wyczuwa? - Corinne zazgrzytała zębami. - Jakim cudem ktoś tak wyczulony na najmniejsze wahanie na giełdzie jest tak niewiarygodnie gruboskórny? Czy nie widzi, co się święci? Czyżby nie dość, że głuchy jak pień, w dodatku był też ślepy?

- O ile wiem, mam czego gratulować? - dopytywał się James. - Kiedy nadejdzie wiekopomny dzień?

- Za sześć tygodni - poinformował dumnie Piers.

- Czekam na zaproszenie. Wiesz, zawsze uczestniczę w ślubach Piersa - zwrócił się do Harriet, nieruchomej jak sopel lodu.

Corinne posłała mu mordercze spojrzenie i już, już miała się oddalić wraz z Harriet, gdy usłyszała jej szepta do Jamesa, tak cichy, że tylko on miał go pochwycić:

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? - odparł równie cicho. Odeszły, ale gdy się odwróciła, widziała, że odprowadza je wzrokiem - a właściwie tylko Harriet - z ponurą miną. I dobrze ci tak, piekliła się w duchu. Już my sobie porozmawiamy!



- Został ci jeszcze jeden VIP - stwierdziła, gdy obeszły wszystkich gości. - Jeremey odmówił pójścia spać, dopóki się z tobą nie zobaczy. Masz coś przeciwko temu?

Po raz pierwszy tego wieczoru Harriet uśmiechnęła się szczerze.

- Skądże.

- Znasz drogę do jego pokoju, prawda? W końcu sama go zaprojektowałaś. Ja, niestety, muszę nadal grać urocą gospodynią.

Jeremey siedział w łóżeczku. Najwyraźniej na nią czekał. - Strasznie długo cię nie było - stwierdził z wyrzutem. - Dlaczego nie przysłałaś razem z wujkiem Jamesem? Nie lubię tej pani, która z nim była. Mówi do mnie „chłopczyku”, a przecież nie jestem już taki mały, niedługo skończę siedem lat!

- Święta racja - zgodziła się z poważną miną.

- Pytałem wujka Jamesa, gdzie jesteś, a on powiedział, że masz pełne ręce roboty, bo kopiesz własny grób. Chyba nie umrzesz, Harriet? Skaleczyłaś się, kiedy spadałaś ze schodów?

- Skąd znowu! Wiesz przecież, że wujek James lubi żartować. Czy wyglądam, jakbym miała umrzeć?

Jeremey uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że wujek tylko tak się ze mną drażni. On się zawsze ze wszystkimi drażni.

- Właśnie. Ze mną też się drażni.

- Pracujesz dzisiaj, Harriet? W tej sukience nie wyglądasz jak księżniczka.

- Tak, pracuję. Chciałam się przekonać, czy wszystkim się podoba twój nowy dom. A tobie?

- Niania mówi, że tu jest więcej miejsca i że to dobrze. Podobają mi się szafy na zabawki. Mamy teraz z Jamesem własne pokoje, wiesz?

- Wiem, sama to wymyśliłam.

- Naprawdę? I bardzo dobrze. James w kółko mną komenderował. Teraz trzymam zabawki, gdzie mi się podoba.

Gawędzili jeszcze przez dziesięć minut. Wreszcie niania oznajmiła stanowczo, że panicz Jeremey powinien od dawna spać, po czym sama przez kolejne dziesięć minut wychwalała pod niebiosa urządzenie domu. Harriet miała akurat zejść do salonu, gdy do pokoju zajrzała Corinne.

- Piers się niepokoi - wyznała z miną mówiącą „wiesz, jaki on jest”. - Chyba już nam nie ufa, jeśli chodzi o ciebie.

- Mówiłam właśnie panie Hilliard, że dom wygląda wspaniale, ale ona niestety nie. Wycieńczona do granic możliwości. Jeśli chcą panie znać moje zdanie - za chuda nawet jak na dzisiejsze czasy.

Corinne dyskretnie zabrała Harriet na dół, zanim dobroduszna niania mogłaby palnąć jeszcze większą gafę, i zaczęła ostrożnie: - Posłuchaj, Harriet. Jeśli nie chcesz, powiedz, żebym nie wtrącała się w nie swoje sprawy, ale ty i James... myślałam...

- Stop! - Harriet przerwała jej w połowie zdania. - Kiedyś ci już powiedziałam: nie gram w jego lidze... ani w jego gierki, jeśli już o nich mowa.

No dobrze, zamyśliła się Corinne. Ale w co właściwie gra teraz James?

Piers rzeczywiście wiercił się niespokojnie. Przy pierwszej okazji Harriet zapytała:

- Czy moglibyśmy już iść?

- Oczywiście - ucieszył się. Nie lubił przyjąć. Corinne nie protestowała, tylko serdecznie ucałowała Harriet, podobnie jak Charles.

- Zostaniemy w kontakcie, dobrze? Chyba nie zapomnisz o przyjacielach tylko dlatego, że skończyłaś dla nas pracować... A teraz, gdy dziecko jest w drodze - a propos, z USG wynika, że to dziewczynka - nie bardzo mogę jeździć do miasta.

- Będę was odwiedzała tak często, jak to możliwe - obiecała. Ale nie wtedy, gdy on tu będzie, dodała w duchu. Po dzisiejszym bolesnym spotkaniu uznała, że najstuszniesze będzie podejście racjonalne i logiczne do całej tej jakże emocjonalnej kwestii. Na co się zdały jej wybujałe fantazje i marzenia? Tylko potęgowały cierpienie.

Zaledwie zamknęły się za nimi drzwi, Charles mruknął:

- Jak na kobietę, która wkrótce wyjdzie za mąż, Harriet wygląda bardzo posepnie. Jakby szła na szafot, a nie do ołtarza.

- Bo idzie na szafot - ucięła Corinne. - I zaraz natrę uszu jej katu.

- Corinne! - James powitał ją szerokim uśmiechem. - Runda honorowa zakończona?

- Tak, Harriet i Piers wyszli, więc możemy uznać, że obowiązki mam z głowy i mogę się bawić.

- Wyszli! - Uczucie zbyt przelotne, by je zidentyfikować, przemknęło po jego twarzy. - Smutek? Tak, ale co jeszcze? Rozczarowanie? Żal? O co mu u licha chodzi? Przecież myśl, że Harriet wyjdzie za Piersa, podoba ci się równie mało jak mnie, więc czemu pchasz ją w jego ramiona?

- Jeszcze ze mną nie zatańczyłaś - wypomniała mu.

- Chodź, naprawimy to od razu. - Zdjął rękę Riny ze swego ramienia. - Uwieś się Charlesa - zaproponował. - Jest znacznie solidniejszy.

Weszli na parkiet.

- Moim zdaniem Harriet nie wyglądała najlepiej, a ty jak sądzisz? - Corinne zaatakowała z grubej rury. - Charles

nawet stwierdził, że absolutnie nie przypomina szczęśliwej panny młodej.

- Harriet wie, co robi - odparł James zdawkowo.
- Czy naprawdę? Piers to ostatni mężczyzna, z którym ją sobie wyobrażałam.
- Harriet jest innego zdania.
- Na Boga, James, przecież to ty pchasz mu ją w ramiona!
- Potraktuj to jako konieczność losową.

Corinne posłała mu spojrzenie tak staroświeckie, że mogłaby z nim uchodzić za damę z epoki wiktoriańskiej.

- Jeśli chodzi o kobiety, nie masz za grosz sumienia. Podejrzewam, że w kwestii Harriet oboje doszliśmy do tego samego wniosku - należy do ginącego gatunku ludzi poważnie traktujących dane słowo i wypełniających swoje obowiązki. Niech mnie diabli wezmą, jeśli Piers Cayzer nie jest dla niej właśnie obowiązkiem! - Corinne rozgrzewała się coraz bardziej. - W ten pamiętny pierwszy weekend, nafaszerowany katastrofami, zapytałam cię, jakim cudem Piers zdobył tak wspaniałą kobietę i doskonale pamiętam, co odpowiedziałeś - że to ona go zdobyła. Co chciałeś przez to powiedzieć? Bo powiedziałeś mi także, że nie chodzi jej o pieniądze.

- To prawda. Nie o pieniądze.

- Więc o co? James, ja chcę pomóc. Harriet tkwi po uszy w kłopotach, a ja za bardzo ją lubię, żeby pozwolić jej popełnić tak brzemienny w skutki błąd. Usiłowałam z nią porozmawiać, ale nie dała mi nawet dojść do słowa. Jestem święcie przekonana, że robi to, co musi, a nie to, na co ma ochotę. Czasami mam wrażenie, że zdecydowanie przesadza z tą samowystarczalnością.

James milczał przez dłuższą chwilę. I nieoczekiwanie przemówił:

- Szczerze mówiąc, moim zdaniem Harriet zgodziła się wyjść za Piersa tylko dlatego, że miała nadzieję, iż nigdy do tego nie dojdzie. Wykorzystała go, ale jako ochronę przed zalotami innych mężczyzn. Oczywiście, nigdy się o nich nie mówiło, ich związek, ze względu na obsesję Piersa, utrzymywano w tajemnicy, ale przecież i tak wszyscy wiedzieli. Piers stanowił zasłonę dymną, za którą bez przeszkód poświęcała się temu, do czego naprawdę jest przywiązana - „Harriet Designs”. Ktoś jej kiedyś zrobił pranie mózgu, i w rezultacie uwierzyła, że mężczyźni to Zło Ostateczne i że jakakolwiek uczuciowa zależność oznacza niewolę. - Nagle przestał tańczyć. - Muszę się napić. - Opróżnił pierwszego drinka jednym haustem. Dopiero z drugą szklanką w dłoni zapytał: - Naprawdę chcesz pomóc?

- Tak.

- Chodź, porozmawiamy. - Ujął ją za łokieć i wyprowadził z sali balowej do saloniku, w którym Harriet wyeksponowała najpiękniejsze okazy z porcelany Herveyów. Zamknął starannie drzwi i pomógł Corinne usadowić się w głębokim fotelu, sam zaś przysiadł na wysokim stołku.

- Miałeś rację, mówiąc, że ją popycham. Również ja poganiałem Paulę. Zagroziłem, że jeśli nie zgodzi się na szybki rozwód, ujawnię pewne... szczegóły z jej życia, które zrujnowałyby ją w towarzystwie. Ba, posunąłem się jeszcze dalej - przedstawiłem jej człowieka, który ma zdecydowanie więcej pieniędzy niż Piers i znacznie mniej skrupułów - nie pozwoli jej na żadne fanaberie, odplaci za wszystko taką samą monetą. Miałem nadzieję że gdy Harriet stanie twarzą w twarz ze świadomością, że jednak ma zostać panią Piersową Cayzer, dojdzie do wniosku, że mimo wszystko nie może tego zrobić.

- A ty będziesz miał drogę wolną - domyśliła się Corinne.

- Cóż, rzeczywiście planowałem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu... - przyznał.

Zapadła głębiej w fotel.

- Cóż... - zaczęła. - Ty zawsze coś kombinowałeś. Zdaniem wielu, najwyższy czas, żebyś dostał nauczkę, ale szczerze mówiąc nie myślałam, że dożyję tego dnia.

- Dopadło mnie - przyznał smętnie. - Uśmiechnął się niewesoło. - Osiągnąłem wiek... i etap w życiu, w którym pogodziłem się ze świadomością, że nie ma na świecie kobiety, która sprawiłaby, że drżałbym ze strachu na myśl o życiu bez niej. Kobiety przychodziły i - jak wiesz - odchodziły.

- Jak jo-jo - stwierdziła.

- Harriet jest... inna. Kiedy Piers mi o niej opowiadał i poprosił, żebym ją zastąpił w czasie urlopu, wyobraziłem sobie młodszą wersję Margaret Thatcher, a nie należę do mężczyzn, którzy lubią wypełniać rozkazy szefów w spódnicy. Jednak już przy pierwszym z nią spotkaniu wyczułem, że kryje w sobie więcej tajemnic, niż kiedykolwiek dostrzegą krótkowzroczne oczka Piersa. Znasz mnie, wiesz, że fascynuje mnie to, co pod powierzchnią. Czasami fasada jest wszystkim, jak w przypadku Riny, czasami, jak w przypadku Harriet, która jest głębią bez dna, mój wysiłek się opłaca. Początkowo myślałem, że ma obsesję na punkcie władzy: bardzo zdolna, niezależna, ale panicznie wystraszona na myśl, że ma odpocząć. Uderzyło mnie także, że kobieta tak stanowcza jest związana z mężczyzną, który tej cechy za grosz nie posiada. Piers zmienia się tylko, gdy chodzi o pieniądze. Tak więc postanowiłem przyjąć posadę i spróbować ją rozszyfrować. Instynkt podpowiadał mi, że pod chłodną przykrywką kryje się zupełnie inna kobieta, której Harriet nigdy nie pozwoli zaistnieć. Kobieta, której Piers nie rozpoznałby na ulicy, bo widzi tylko pozory. Przy nim nigdy się nie otworzyła. - Chwila milczenia. - Przy mnie tak. I okazało się, że miałem rację. - Pokręcił głową. - Prawdziwa Harriet Hilliard wystraszyłaby Piersa śmiertelnie.

- Ale nie ciebie?

- Nie, wręcz przeciwnie. Prawdziwa Harriet jest w stanie wzbudzać w mężczyźnie płomień... na całe życie.

- Aaa... - Corinne wydawała się bardzo zadowolona. - Wiedziałam, że coś się stało. A więc rozszyfrowałeś ją? - dodała po chwili.

- Chyba tak. Niestety, Harriet mnie także. - Nie rozumiała. - Zachowywałem się jak wirus komputerowy - wyjaśnił - który zniszczyłby „Harriet Designs”, umożliwiając w ten sposób ucieczkę Harriet Hilliard. Usiłowałem wytrzeć firmę z jej pamięci. Na darmo. Widziałeś, jak wygląda.

- Wystarczył jeden rzut oka. Oboje wiemy, kto ponosi za to odpowiedzialność, może nie?

- Nie miałem wyjścia, Corinne. Wiedziałem, że to jedyny sposób. Tu chodzi nie tylko o Harriet, ale i o mnie. Jestem egoistą, jak każdy inny facet. Chciałbym... Boże, tak bym chciał, żeby Harriet pozbyła się i swojego alter ego, i Piersa, i odważyła się przyznać, czego naprawdę pragnie. I kogo.

- Czyli?

- Mnie - odparł po prostu.

Corinne zamyśliła się.

- I Harriet wie, że ty to wszystko wiesz?

- A jak myślisz, dlaczego tak rozpaczliwie walczy? Jasne, że widziałem dzisiaj, jak źle wygląda, i nie podoba mi się to, podobnie jak tobie. Ale co, miałyby wrócić do dawnego życia pod hasłem: praca tak, przyjemności nie? Chcę żeby stawiała czoła rzeczywistości i zaakceptowała fakty takimi, jakie są, a nie jak chce je postrzegać.

- Czyli? - powtórzyła Corinne.

- Ona utratę niezależności odbiera jako zdradę - kogo i czego, jeszcze nie wiem. A wszystko sprowadza się do tego, że jest gotowa wyjść za faceta, którego nie kocha, tylko dlatego, że kiedyś mu to obiecała.

Corinne delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- To boli, prawda?

Popatrzył jej w oczy.

- Tak.

- Więc czemu jej nie powiesz?

- Bo Harriet musi zrozumieć, że sama tego chce. Och, gdybym się postarał, zdobyłbym jej ciało, ale ja chcę zdobyć także jej serce i umysł... Chcę ją taką, jaka jest i jaka nie jest. Chcę, żeby przyznała, że mnie pragnie, i przyszła do mnie z własnej nieprzymuszonej woli, świadomie. Więcej - z radością, bez lęku. Bo ona panicznie boi się zaangażować, choć jeszcze nie wiem, dlaczego.

- No nie - pokręciła głową Corinne. - I kto to mówi? Człowiek, który unikał zaangażowania jak ognia...

- To się skończyło. W tej chwili mogę myśleć wyłącznie o niej. Naciskałem więc jeszcze mocniej, ale ta jej cholerna żelazna wola... - Opuścił głowę. - Kiedyś powiedziałaś, że miłość boli. Wtedy tego nie rozumiałem. Nigdy nie zdarzyło mi się cierpieć z miłości. Teraz wiem, dlaczego tak było - nigdy nie kochałem. Przyznaję ci rację - boli jak diabli. - Ujął jej dłoń. - Wybacz, że kiedyś byłem takim draniem.

- Biedaku - Corinne uśmiechnęła się ze współczuciem. Pewna epoka dobiegła końca.

- Przysięgam ci, nie miałem zielonego pojęcia...

- Zawsze stawiałeś sprawę jasno i nie obiecywałeś niczego, czego nie mogłeś dotrzymać. Wszystkie wiedziałyśmy, o co gramy - zawsze pilnowałeś, żebyśmy się zapoznały z regułami gry.

- Na Boga, nawet mi o tym nie przypominaj! - skrzywił się. Po chwili dodał ściszym głosem: - Co mam robić, Corinne? Jak złamać jej żelazny upór? Coś wystraszyło ją do tego stopnia, że prędzej zniszczy własne życie, niż odważy się zaryzykować.

- Już ci mówiłam, spróbuj może z nią porozmawiać.

Roześmiał się, niewesoło.

- Nie uwierz w ani jedno moje słowo. Nie tylko podejrzewa mnie o nieczne motywy, poddaje w wątpliwość także moją moralność. Która, szczerze mówiąc, rzeczywiście przejawia oznaki zużycia.

Corinne próbowała oddzielić ziarna od plew.

- Obawiasz się, że mogłaby cię odrzucić?

- Po tym co powiedziałem i zrobiłem? Wyśle mnie na stos. Boję się tego jak cholera. Z innymi kobietami zawsze było tak, że następna już czekała, ale Harriet... Harriet jest tylko jedna.

Corinne westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Miłość doprawdy odbiera ci rozum. Przecież Harriet wygląda tak, jak wygląda, bo jest kłębkim nerwów! Słyszałam dzisiaj jej pytanie i twoją odpowiedź! Tylko ty możesz ją powstrzymać przed samozagładą na ołtarzu dumy. Jeśli wyjdzie za Piersa, zrobi to święcie przekonana, że dla ciebie byłaby jedynie kolejną zaliczoną ofiarą, nacięciem na pasku. Sama mi to powiedziała.

James roześmiał się głośno.

- Cała moja Harriet - oznajmił z dumą. - Od razu skacze do gardła.

- Więc lepiej szybko opatrz rany, zanim oboje wykrwawicie się na śmierć. Porozmawiaj z nią, zanim podpali stos.

- Corinne przerwała. - Chcesz, żebym zabawiła się w dobrą wróżkę?

- A zrobisz to? - spytał z nadzieją w oczach.

- Ze względu na was, spróbuję. Jestem Amerykanką, nie zapominaj o tym. Przepadamy za szczęśliwymi zakończeniami.

Niestety, gdy następnego ranka zadzwoniła do Harriet, dowiedziała się, że panna Hilliard wyjechała z Londynu. Nie, nie zostawiła żadnego adresu kontaktowego. Nie, Annie nie ma pojęcia, kiedy wróci.

Gdy przekazała te wieści Jamesowi, stwierdził od razu:

- Coś się stało. Instykt podpowiada mi, że na waszym przyjęciu runął pierwszy kamyk z lawiny, którą starałem się spowodować. Dzięki, Corinne, ale reszta jest w moich rękach. Przede wszystkim muszę spotkać się z Piersem.

Piersa jednakże również nie było ani w domu, ani w banku, a gdy zawędrował na Pont Street, usłyszał od Annie, że ta nie wie nawet, dokąd Harriet pojechała.

- Powiedziała tylko, że musi wyjechać na kilka dni, nie mówiła, dokąd się wybiera ani na jak długo.

- I nie zostawiła żadnego telefonu?

- Nie, proszę pana. Obiecała, że się ze mną skontaktuje.

W poniedziałek rano był w „Harriet Designs” ledwie sklep otworzył podwoje, ale panna Judd powtórzyła to samo co Annie. Utwierdziło go to w przekonaniu, że doszło do eksplozji. Skoro Harriet zostawiła swój największy skarb bez opieki, coś dużego wisi w powietrzu.

Wieczorem do jego apartamentu przy Cadogan Square zastukał Piers, nie ogolony, cuchnący whisky, pełen żalu nad sobą, i przekazał Jamesowi nowinę, której tamten już się domyślał. Gdy wrócili z przyjęcia, Harriet oświadczyła, że za niego nie wyjdzie. Przyznała, że go skrzywdziła, ale stwierdziła, że gdyby za niego wyszła, skrzywdziłaby go jeszcze bardziej. Wykorzystała go, mówiła, i bardzo jej z tego powodu przykro, ale nie może go dłużej okłamywać. Jego ani siebie.

- Nic jej nie wzruszyło... Błagałem i szlochałem, ale była twarda jak gład. Powtarzała, że powinna była powiedzieć mi już dawno, gdy tylko sama to sobie uświadomiła. Twierdziła, że to nie ma nic wspólnego z tak długim czekaniem, że gdyby naprawdę mnie kochała, zmusiłaby Paulę do rozwodu już dawno. Dlatego wiem, że cię nie kocham - powiedziała. - Wykorzystałam cię jako parawan. Dokładnie tak to ujęła. Pamiętam doskonale, cały czas o tym myślałem.

I pijesz, żeby zapomnieć, dokończył w duchu James i zaprowadził Piersa do kuchni, gdzie zaparzył mu bardzo mocną, bardzo czarną kawę, choć zamiast współczucia przepełniała go radość. Więc jednak Harriet to zrobiła! Wyzwoliła się z klatki! Teraz musi ją odnaleźć wesprzeć. Na pewno tego potrzebuje.

- Dokąd pojechała? - zapytał.

- Nie wiem. Nie wiedziałem nawet, że wyjechała, dopóki nie poszedłem do niej do domu, żeby spróbować ją przebłagać. Dopiero Annie mi powiedziała. - Piers był załamany. - Zarzuciłem jej, że ma kogoś innego, ale twierdziła, że to nie dlatego... - Czerwone oczy Piersa zmrużyły się lekko. Był bez okularów. - Myślałem, że to przez ciebie, przecież wiem, jak kobiety na ciebie lecą, więc powiedziałem, że tylko marnuje czas, bo prawdziwym powodem, dla którego cię sprowadziłem, była sprzedaż „Harriet Designs”. Powiedziałem, że nienawidzę tej jej cholerycznej firmy, bo poświęca jej więcej czasu niż mnie... że rozglądałeś się za czymś odpowiednim dla ciebie po pracy w „Lewisohn’s”... że tak naprawdę zgodziłeś się ją zastąpić, żeby zorientować się, czy firma ci odpowiada...

Cholera! James zamknął z wrażenia oczy, przerażony własną głupotą. Nic dziwnego, że uciekła, gdzie pieprz rośnie.

- I jak na to zareagowała?

- Powiedziała, że zawsze cię posądzała o nieczne motywy i dlatego nigdy ci nie ufała. I że jesteś ostatnią osobą, której sprzedałaby firmę. A potem powiedziała - w głosie Piersa pojawiło się niedowierzanie - że tak czy owak, z nami koniec. Dajmy sobie spokój, powiedziała. - Bezradnie kręcił głową, jakby wciąż nie mógł pojąć. - To wszystko moja wina... Zbyt długo to się ciągnęło...

- To prawda - rzucił James brutalnie. - Gdyby naprawdę zależało ci na Harriet, zrobiłbyś wszystko, żeby się pozbyć Pauli. Chroniłeś przed skandalem nie Harriet, tylko siebie samego. Robiło ci się słabo na myśl, że szmatławce okrzykną cię rogowcem. Prawda jest taka, że opinia publiczna jest dla ciebie ważniejsza niż miłość do Harriet. W głębi ducha zawsze wiedziałeś, że to nie jest kobieta dla ciebie. Jasne, podziwiałeś ją i zazdrościłeś jej, ale także się jej bałeś, co? Taka stanowcza, taka samodzielna...

Piers poczerwieniał jak indor. Jego opuszczony wzrok dobitnie świadczył, że James trafił w dziesiątkę, jak również o tym, że Piers w życiu się do tego nie przyzna.

- Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Wszystko przepadło, nie wyłączając Harriet. Ale głowa do góry: nadal masz nieskazitelną reputację. Dostaniesz cichy, czysty rozwód bez najmniejszej wzmianki w brukowcach. Myślałem, że będziesz skakał z radości!

Piers wiedział, co oznacza taka dawka sarkazmu. James jest wściekły. Wycofał się ukradkiem. Co tam kawa! Przyszedł tu po współczucie, a nie żeby wysłuchiwać zarzutów pod swoim adresem. Poza tym to nie jego wina. Chciał tylko chronić Harriet. No dobrze, niezbyt podobała mu się myśl, że jego nazwisko będą szargać w brukowcach. Co w tym złego?

Wyszedł naburmuszony. James, pogrążony w myślach, nawet tego nie zauważył.

Harriet była w Birmingham. Gdy nieoczekiwanie eksplodowały nagromadzone w niej emocje i wyznała Piersowi prawdę, było to jak katharsis. Czuła się teraz czysta, ale psychicznie wykończona. Wiedziała, że ma jeszcze do załatwienia parę innych trudnych spraw, ale na razie miała w głowie tylko jedno: odpocząć. Wyczerpała ją do cna zarówno ta gwałtowna erupcja napięcia, w jakim żyła od tak dawna, jak i niezliczone noce, podczas których nie zmrugała oka. Rzuciła się na łóżko i spała jak zabita, dopóki kilka minut po ósmej nie obudził jej telefon z Ośrodka. Matka jakimś cudem zdobyła całą butelkę whisky i od razu wypijała, wskutek czego straciła przytomność, a obecnie jest w stanie śpiączki. Harriet ma przyjechać najszybciej jak może. Natychmiast wsiadła do samochodu, ale gdy wbiegła do budynku Ośrodka, dowiedziała się, że matka umarła pół godziny temu, nie odzyskawszy przytomności.

Miała wrażenie, że wielkie kamienie młyńskie ścierają ją na pył. Nieszczęścia chodzą trójkami, pomyślała tępo, siedząc w gabinecie doktora Wilsona. Najpierw uświadomiła sobie, że James Alexander wniósł w jej życie erotyzm, którego istnienia nawet nie przeczuwała. Potem Piers utwierdził ją w podejrzaniach, że James miał ukryte zamiary, tyle że nie wobec niej, jak przypuszczała, o nie, jemu zależało na źrenicy jej oka - „Harriet Designs”. A teraz jeszcze i to.

- Pani matka zdawała sobie sprawę, jakie mogą być konsekwencje tego, co robi - stwierdził doktor Wilson. - Wiedziała, czym grozi przyjęcie tak dużej ilości alkoholu w tak krótkim czasie. Staraliśmy się odciąć pacjentów od wszelkich możliwych źródeł alkoholu, ale nie wyobraża sobie pani, jacy oni są przebiegli. Pani matka też znała wszystkie tricki. Podejrzewamy, że ukryła tę butelkę już dawno i chomikowała ją na specjalną okazję.

Harriet podniosła głowę.

- Jak to?

- Przy życiu utrzymywała ją jedynie troska o panią. Moim zdaniem, gdy upewniła się, że jest pani bezpieczna, że pamięta pani jej nauki, że nie pozwoli się pani zamknąć w klatce, którą w jej mniemaniu było małżeństwo, nie miała już po co żyć.

Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Kiedy byłam tu w zeszłym tygodniu, bez przerwy powtarzała, jaka jest dumna, że postępuję tak, jak mnie nauczyła. Powiedziała, że jestem zadośćuczynieniem za jej życie... - Z trudem widziała twarz lekarza przez łzy. - Nawet przez myśl mi nie przeszło, że w ten sposób się ze mną żegna.

- Matka widziała wszystko poprzez własne doświadczenia, własny ból i gniew. Kochała panią, jak umiała. Robiła co mogła, żeby uniknęła pani tego, co w jej oczach stanowiło największe zło - małżeństwa. Celowo wyprawiła panią z domu w młodym wieku, żeby nauczyła się pani samodzielności. Kiedy oglądała zdjęcia domu, który pani urządziła w Gloucestershire - o tak, pokazywała je, komu tylko mogła - była w najlepszym humorze, odkąd ją znałem. - Sama to zrobiła - mówiła z dumą. - Nikt już jej nie skrzywdzi. Jest bezpieczna. - Kiedy ją znaleźli, miała tę gazetę w dłoni i uśmiech na twarzy...

Napięte nerwy Harriet nie wytrzymały. Wybuchnęła płaczem. Lekarz poczekał, aż łzy obeschną, dał jej tabletkę na uspokojenie i kazał pójść do łóżka na całą noc.

Przez następnych kilka dni zajmowała się przygotowaniami do pogrzebu, skrupulatnie wypełniając polecenia matki. „Chcę, żeby mnie skremowano” - napisała w liście do Harriet. „Nie chcę leżeć koło niego. Niech nawet śmierć nas dzieli”.

Co za nienawiść, dumiała Harriet w czasie skromnego nabożeństwa. Tak niszcząca, tak szkodliwa dla dziecka, którym wówczas byłam... Doskonale ci się udało, mamó. Nic dziwnego, że tak się przywiązałam do „Harriet Designs”. Byłam zbyt młoda, by zrozumieć, że to twoje małżeństwo jest złe, nie sama instytucja małżeństwa. Kiedy to do mnie dotarło, było już za późno: przesiąkałam twoimi naukami, cała moja emocjonalna struktura była zwichnięta. Piers był dla mnie wręcz stworzony. Dopiero James Alexander nadepnął tę wieżę z klocków i zburzył ją.

Po pogrzebie, na którym mile ją zaskoczyła obecność personelu Ośrodka i pani McBride, ma się rozumieć, skuliła się na sofie w domu matki. Włączyła ogrzewanie na pełny regulator, otuliła się najcieplejszym pledem, a mimo to drżała z zimna. Miała wrażenie, że jej życie to lodowa wyspa na oceanie ludzkiego ciepła i uczuć. Nigdy nie czuła się równie samotna, nigdy tak strasznie nie brakowało jej siły, ciepła i czułości Jamesa Alexandra.

Wielokrotnie łapała się na tym, że wędruje dłońią do torebki, w której leżała komórka, ale za każdym razem powstrzymywała się w ostatniej chwili. Nie potrafiła nawet poprosić o pomoc. Nawet teraz matka miała na nią wpływ. Z drugiej strony, miała rację co do niego: pragnął nie jej, lecz „Harriet Designs”.

Rozgryzłam go na samym początku, stwierdziła, ale ta świadomość nie przyniosła ulgi. Razem z Piersem upichcili niezły plan, choć wiedziała, kto był szefem kuchni. Piers nie umie nawet zagotować wody na herbatę. Dlaczego James nie był z nią szczerzy? Cóż, nie takimi metodami pracuje, zawsze bazuje na swoim uroku osobistym. Wie doskonale, że kobiety są w łóżku o wiele bardziej przystępne. Tylko że ze mną nigdy nie dotarł tak daleko. Z tego jedynie czerpała satysfakcję, choć w głębi ducha musiała przyznać, że gdyby tamtej nocy nalegał, nie byłaby w stanie mu się sprzeciwić.

A teraz? Westchnęła ciężko. Co dalej? Nie chciała wracać do poprzedniej egzystencji robota. Tamto życie

odeszło wraz z matką. Nie, uznała, musi zacząć wszystko od nowa, najlepiej gdzieś daleko. Może w Ameryce? Nieraz proponowano jej zlecenia zza oceanu, ale Piers nie był tym zachwycony. Teraz to już nieważne, już go nie ma. Może myśleć wyłącznie o sobie. Tak, postanowiła. Zrobię to. Zrzucę starą skórę, sprzedam wylinkę Jamesowi Alexandrowi i zabiorę ze sobą tylko talent. Raz mi się udało, uda mi się i drugi. Mam zdolności i energię. Wyjadę z nimi i z całą forszą, jakami się uda wydusić z tego podstępного sukinsyna! Tak czy inaczej, zapłaci za przyjemności.

Gdy podjęła decyzję, zasnęła zadziwiająco spokojnym snem. Następnego ranka, zanim mogłaby się rozmyślić, pojechała do prawnika do Birmingham i wystawiła dom na sprzedaż, sprawdziwszy uprzednio ceny. Skontaktowała się także ze swoim londyńskim prawnikiem i poleciła rozpocząć negocjacje z panem Jamesem Alexandrem w kwestii pilnej sprzedaży „Harriet Designs”. Pan Alexander jest bardzo zainteresowany, pieniądze nie mają dla niego znaczenia, dlatego podała sześciocyfrową sumę. Nie, pan Cayzer nie uczestniczy w tej transakcji, już nie jest jej współnikiem.

W przypiływie energii poszła do biura podróży i zarezerwowała sobie bilet do Nowego Jorku - z Manchesteru, nie z Londynu, w nadziei, że tam nie spotka nikogo znajomego. Życie kieruje się jednak własną logiką. Gdy wychodziła, wpadła na jakiegoś mężczyznę, który powitał ją radosnym okrzykiem:

- Harriet! Co za niespodzianka! Co ty tu robisz?

Bert Kaye.

- Pracujesz tu? Bo ja, jak zwykle raz na dwa tygodnie, odwiedziłem mój tutejszy salon. Mają tyle pracy, że muszę otworzyć następny. Rzecz jasna, ty go urządzisz.

- Wyjeżdżam za granicę, Bert... na długo.

Jego konsternacja była wprost namacalna.

- Nie możesz mi tego zrobić! Jesteś moją maskotką! Nie zgodzę się na nikogo innego! Nie zostawisz na lodzie pierwszego klienta!

Uśmiechnęła się na widok tej rozpacz.

- No, już dobrze. Ostatni raz. Na pożegnanie... - Był doskonałym klientem, załatwił jej wiele zleceń, a znała go tak dobrze, że mogłaby urządzić jego salon z zamkniętymi oczami. Zrobi projekt i zamówi materiały, a panna Judd i Evelyn zajmą się resztą.

- Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz. To tylko kwestia koloru, bo wiesz, styl będzie ten sam. To jak mój podpis. Właśnie znalazłem odpowiedni lokal, więc jak tylko podpiszę umowę najmu, zadzwonię do sklepu i dam ci znać, dobrze?

- Obawiam się, że możesz mnie nie zastać. Wiesz co? Jak już będziesz coś wiedział, daj znać Annie, mojej gospodyni. Wszystko mi przekaże.

Nawet jeśli zaskoczyło go, że poprosiła o wiadomość przez Annie, a nie pannę Judd, nie okazał tego.

Spaliwszy za sobą wszystkie mosty, Harriet zadzwoniła do Annie, podała listę odzieży, którą ta miała jej przesłać wraz z paszportem i innymi dokumentami, i surowo zakazała podawania komukolwiek jej adresu. Następnych kilka dni spędziła na przeglądaniu rzeczy w domu matki. Zachowała jedynie drobiazgi, z resztą rozstawała się bez żalu. Wreszcie dom był pusty. Wychodząc, nawet nie obejrzała się na człowieka, który mocował na trawniku tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”.

Wróciła do hotelu, gdzie miała się zatrzymać aż do wyjazdu, i zadzwoniła do Annie, by podziękować za przesłanie bagażu. Przekazała jej także adres i telefon hotelu „Carlyle” w Nowym Jorku, gdzie miała zatrzymać się do czasu wynajęcia jakiegoś mieszkania. Był to jedyny nowojorski hotel, jaki znała - Piers zawsze zatrzymywał się właśnie tam. Annie zgodziła się zostać na Pont Street, póki Harriet nie zdecyduje, co i jak.

- Dużo ludzi o panią pyta - zauważyła gospodyni.

- Na przykład kto?

- No, pan Cayzer dzwoni co godzina, a pan Alexander zagląda tu codziennie i pyta, czy coś wiem.

- Proszę powtarzać, że nie ma pani żadnych nowych wieści - poleciła Harriet. - I nikomu ani słowa o Nowym Jorku, jasne?

Piers zapewne poszedł po pocieszenie do swego Samarytanina. Raczej faryzeusza! - zachnęła się. A ja wyrzuciłam łyżeczkę Piersa i wysadziłam dynamitem gibraltarską skałę. Mam nadzieję, panie Alexander, że odłamki spadną panu na łeb!

Następnie zadzwoniła do panny Judd i powiedziała, że wyjeżdża służbowo w sprawie przyszłych zamówień - co, nota bene, było prawdą. Nie zdradziła, że sprzedaje firmę; nie piśnie ani słowa, dopóki to nie będzie pewne. Ani panna Judd, ani Evelyn nie będą miały nic przeciwko nowemu właścicielowi - obie należały do fan-klubu Jamesa Alexandra.

Nadszedł dzień, w którym miała lecieć do Nowego Jorku. Był szary i pochmurny; od rana mżył kapuśniaczek, który z czasem przeszedł w ulewę. Nie zważając na to, Harriet poszła do Ogrodu Pamięci przy krematorium. Nagrobek, który zamówiła - płyta z czarnego bazaltu z napisem CHARLOTTE HILLIARD 1948-1998 - był już na miejscu. Przed nagrobkiem ułożyła w wazonie ukochane kwiaty matki, białe róże. A więc tu jesteś, mamó, powiedziała do niej bez słów. Z dała od ojca, nawet po śmierci. Spoczywał na cmentarzu w Edgbaston. Żona ani

razu nie była na jego grobie, a Harriet wołała jej nie mówić, że zagląda na cmentarz przy każdej wizycie w Birmingham. Przed pogrzebem matki poszła tam znowu. Widząc, że grób jest zaniedbany, zatrudniła pracownika, by go sprzątał. Nie było nagrobka, bo matka nie chciała, by po ojcu pozostał jakikolwiek ślad, więc Harriet zamówiła płytę i dla ojca. Taką samą - czarny bazalt z napisem: FREDERICK HILLIARD 1938-1986. Tam też zaniósła wiązanekę.

Odsuwając się od nagrobka matki, by sprawdzić jak wyglądają kwiaty, pomyślała: nie śmierć was rozdzieliła, lecz życie. Powinniście byli się rozstać. Inni przecież uciekają z nieudanych związków... Zostaliście razem, bo w waszym środowisku nikt się nie rozwodził. No i ojciec zarabiał na dom... Był dobrym grafikiem; pewnie po nim odziedziczyłam talent. Ty nie umiałaś nic, ciągle o tym mówiłaś. Ale dlaczego się nie nauczyłaś? Są przecież szkoły wieczorowe, kursy... Nie, wołałaś oskarżać ojca, że cię uwięził, choć byłaś równie winna. Gdybyś od niego odeszła, za wszelkie niepowodzenia mogłabyś obwiniać wyłącznie siebie. Łatwiej było zostać i go znienawidzić. Długo trwało, zanim przejrzałam na oczy, i za to jedno jestem wdzięczna Jamesowi. Teraz obejmuję wzrokiem całość obrazu, nie tylko twój zafałszowany skrawek płótna.

Otworzywszy parasol, odwróciła się by odejść, i napotkała atramentowe spojrzenie Jamesa Alexandra. Stał przy ogrodzeniu i obserwował ją bez uśmiechu. Jego włosy lśniły od deszczu, był nie ogolony i zmęczony. Dłonie ukrył w kieszeniach płaszcza. Harriet była gotowa się założyć, że zacisnął je w pięści. Niby czemu ty miałabyś się złościć? - pomyślała gorzko, idąc ku niemu, popychana przez własną złość.

- Więc pochodzisz z Birmingham - zaczął, gdy podeszła.

- Co tu robisz?

Była zachwycona swoim chłodem.

- Czekam na ciebie, to chyba jasne.

- Jeśli chodzi o sprzedaż „Harriet Designs”, mój prawnik ma wszelkie pełnomocnictwa. Spiesz się, muszę zdążyć na samolot.

- Mam w nosie twój sklep i twój samolot. Nie dokończyliśmy pewnych spraw, ty i ja.

- Nie mamy o czym mówić. Mój prawnik przekaże ci wszelkie szczegóły.

- Nie bądź uparta, Harriet. To nie w twoim stylu. - Ani się zorientowała, gdy z całej siły złapał ją za ramię i poprowadził w stronę parkingu.

- Słuchaj...

- Posłucham w samochodzie, wystarczająco długo mokłem.

Musiała biec, by dotrzymać mu kroku, i pewnie dlatego brakło jej tchu, gdy zapytała:

- Po co?

- Wiesz doskonale, po co.

Nie wiadomo dlaczego zmieniła temat.

- Jak mnie znalazłeś?

- Szukając igły w stogu siana. Koniec końców spotkałem Berta Kaye, który powiedział, że widział cię w Birmingham i że wybierasz się za granicę. Wpadłem na pomysł, żeby wziąć książkę telefoniczną tego miasta i zadzwonić do każdego Hilliarda w okolicy. Dzięki Bogu, że nie nazywasz się Smith! Nie było tych Hilliardów, których szukałem, za to jeden telefon był wyłączony, choć numer nadal figurował w książce telefonicznej. Zaufałem instynktowi, pojechałem tam i zobaczyłem tabliczkę NA SPRZEDAŻ. Miałem właśnie jechać do agenta nieruchomości, kiedy wielce rozmowna sąsiadka, niejaka pani McBride, udzieliła mi wszystkich potrzebnych informacji. O Hilliardach zamieszkałych do niedawna przy 147 Amberley Close. - Jego głos odrobinę się ocieplił. - Przykro mi z powodu twojej matki. Kiedy pani McBride wspomniała kremację, pomyślałem, że może znajdę cię tutaj.

Harriet była oszołomiona. Szukał jej! Jej, Harriet Hilliard, nie „Harriet Designs”! Wołała nie myśleć, co to oznacza, ale dała się potulnie zaprowadzić do samochodu.

Siedzieli w ciepłym wnętrzu, wsłuchani w monotonne bębnienie deszczu. James przerwał ciszę.

- Wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy, dobrze? - zaczął spokojnie, ale wyczuwała zdenerwowanie w jego głosie. - Po pierwsze, nigdy nie miałem zamiaru kupować twojej firmy.

- Ale Piers powiedział...

- Jak zwykle nie to co trzeba. To był jego pomysł, nie mój. Uważał - i tu wyjątkowo miał rację - że poświęcasz firmie więcej uwagi niż jemu. Chciał skorzystać z okazji, że ciebie nie będzie, i nakłonić mnie do kupna. Dlatego tak nalegał, żebyś mnie zatrudniła. Nie miał pojęcia, że poświęcasz „Harriet Designs” tyle uwagi, bo zależy ci na firmie bardziej niż na nim.

Milczała. Skąd on to wszystko wie? Zaraz się przekona.

Mówił dalej: - Wiem o tobie wszystko od gadatliwej sąsiadki i chyba znalazłem brakujące elementy łamigłówki. Nie wątpię, że jeśli coś popłaczę, nie omieszkasz mnie poprawić na swój uroczy sposób.

Nadal milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Na razie wystarczyło jej czekanie.

- Często się myślę - ciągnął. - Ale miałem rację, jeśli chodzi o ciebie. Przy naszym pierwszym spotkaniu uznałem, że twoja twarz nie tylko przykuwa uwagę mężczyzny; każe mu się także zastanowić, co się kryje za tą piękną

buzią. Piers nigdy nie zadał sobie trudu. Gorzej, nawet nie wiedział, że warto się wysilać. Och, jesteś bardzo opanowana, ale z mojego doświadczenia wynika, że ludzie tak doskonale kontrolujący swoje emocje czegoś się panicznie boją. Intrygowało mnie także, co kobieta taka jak ty robi u boku Piersa, który rozumie się wyłącznie na kontroli finansów. Wiesz, kiedy na początku wyśpiewywał pieśni pochwalne na twój temat, pomyślałem: O Boże, łąduje się w katastrofę z następną naciągaczką, tyle że dużo bardziej przebiegłą niż Paula. A tymczasem przekonałem się, że wcale ci nie zależy na jego pieniądzach, ba, pracowałaś jak wół, by zwrócić Piersowi każdego centa. Więc dlaczego kobieta o takiej ambicji i determinacji zgadza się na wieczne trwanie w zawieszaniu, nie usiłuje niczego zmienić? W końcu do mnie dotarło, że taka sytuacja ci odpowiada. Zgodziłem się zastąpić cię głównie dlatego, że miałem tym sposobem sześć tygodni na próbę rozwiązania zagadki Harriet Hilliard. Kiedy naskoczyłaś na mnie za wtrącanie się, wiedziałem, że oceniłem cię właściwie. Umiem rozpoznać panikę.

Harriet zadrżała mimowolnie.

Natychmiast wziął ją za rękę. - Zimno ci - stwierdził raczej, niż zapytał. - Jak sople lodu. Nie szkodzi, odwilż już blisko. - Rozchylił wilgotne poły płaszcz, poruszając się z wdziękiem dużego kota, i przytulił ją do szerokiej, cieplej piersi. - Obejmij mnie - polecił.

Usłuchała. Po raz pierwszy w życiu nie chciała się kłócić.

- No, teraz lepiej...

Zamknęła oczy. Oto czuje jego ciepło, którego tak jej brakowało. Powoli topnieje lodowa skorupa, w której tkwiła od tak dawna. Przytulił ją, opierając policzek o jej włosy. Westchnęła. Opadło całe napięcie, pozostało tylko zmęczenie i pragnienie.

- Jak twoje usta? - zainteresował się. - Nie ma blizny, ale przekonajmy się, czy wszystko w porządku. - Pocałował ją tak delikatnie i czule, że poczuła łzy pod powiekami. - No widzisz... żadnych śladów.

- Co ty tam wiesz...

Uśmiechnął się.

- Tak już lepiej. Zapewne ucieszy cię wiadomość, że właśnie potwierdziły się moje podejrzenia.

- Co do czego?

- Co do nas. Ty pragniesz mnie, a ja ciebie. Jak nikogo dotąd. Nie uganiam się za tobą tylko dlatego, że chciałem ci wytłumaczyć nieporozumienie ze sklepem. Jesteś dla mnie bardzo ważna... najważniejsza.

Powoli, nieśmiało podniosła na niego wzrok. Napotkała ciemny błękit jego spojrzenia i odetchnęła z ulgą.

- Nawet nie wiesz, jak marzyłam, żeby to usłyszeć. Byłam taka samotna, tak cię potrzebowałam.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Potrzebowałam cię... i potrzebuję. Wyrwałeś mnie z jakiegoś odrętwienia, wzbudziłeś uczucia, których istnienia nawet nie podejrzewałam, nad którymi nie panuję. I odkryłam, że nawet nie chcę panować. - Trudno jej było to powiedzieć, ale powiedziała.

- No proszę! A jednak przeszło ci to przez gardło! Harriet, każdy kogoś potrzebuje. Dlaczego ty miałabyś być inna?

- Bo tak mnie wychowano.

- Ach... - mruknął ze zrozumieniem. - Opowiedz mi - poprosił, i było jasne, że nie z ciekawości, tylko dlatego, że jest to dla niego równie ważne jak dla niej.

Opowiedziała mu więc o matce. Opowiedziała mu wszystko, łącznie z tym, że gdy po raz pierwszy ujrzała starego przyjaciela Piersa, poczuła do niego tak nieodparty pociąg, że instynktownie zmieniła to uczucie w niechęć, w lęk, że zbczy choćby o milimetr ze ścieżki, jaką wytyczyły dla niej chore pragnienia matki.

- Cieszę się, że mnie znalazłeś - zakończyła z twarzą wtuloną w jego koszulę.

- Ja jeszcze bardziej. Uprzedzam, że jestem bardzo uparty, jeśli mi na czymś zależy.

Mruknęła coś niezrozumiale. Uniósł jej podbródek.

- Nie bój się powiedzieć tego głośno - zachęcił.

- Pytałam, na czym ci teraz zależy?

Roześmiał się głośno.

- Wyrażasz się nader niejasno... albo może w końcu uczysz się flirtować?

- Nie wiem, czy potrafię.

- Nie przejmuj się. Pragnę cię taką, jaka jesteś. I jaka nie jesteś. - Odnalazł jej wzrok. - Posłuchaj, Harriet. Kocham cię. Kocham cię tak, jak nigdy nie przypuszczałem, że kogoś pokocham. I myślę, że ty także mnie kochasz, ale wolałbym usłyszeć to od ciebie.

Głęboko zaczerpnęła tchu i skoczyła głową naprzód.

- Tak, kocham cię. Kocham cię bardziej niż myślałam, że umiem kochać. Im lepiej cię poznawałam, tym bardziej cię kochałam. I dlatego coraz bardziej się bałam. Bo wiesz, miałam w głowie tylko jedno: że traktujesz mnie jako kolejną zdobycz, kolejne nacięcie na pasku.

- No coś ty. Stary pasek wyrzucony. A na nowym, zobacz, ani śladu nacięcia - uniósł rękę, ukazując nowy skórzany pasek wokół talii.

- Wciąż myślałam, że jesteś jak zwykle na polowaniu...



- Właściwie nigdy nie musiałem polować - stwierdził ze śmiertelnie poważną miną. - Chętnie zawsze znajdowały się same.

Zachichotała.

- Miałeś wiele kobiet, prawda? - raczej stwierdziła, niż zapytała.

- Uznajmy, że szkolilem się, czekając na coś prawdziwego. Mam nadzieję, że nie będziesz mi zarzucała burzliwej przeszłości?

- Zarzucać ci będę tylko ramiona na szyję.

- Umowa stoi!

Tym razem cisza się przedłużała. Zakłócały ją tylko westchnienia i szmer pocałunków. W końcu Harriet zapytała:

- A Rina?

- Co Rina?

- Jak ona to przyjmie?

- Nawet nie mrugnie okiem. Rina, moje małe niewiniątko, to Casanova w spódnicy. Położyła trupem więcej facetów niż ja w życiu zjadłem kolacji. Łączyła nas fascynacja fizyczna, ale nie miało to nic wspólnego z miłością. No, a jeśli chodzi o ciebie, to ma to wiele wspólnego z miłością. Nawet - wszystko. - Przypieczętował te słowa pocałunkiem. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Cóż ze mnie za szczęściarz, że mnie przypadła rola twojego nauczyciela. I jak to wspaniale, że jesteś taką pojętną uczennicą - dodał po długiej chwili.

Harriet jednak nie dawała za wygraną.

- Tak jak Rina?

- Dobrze, załatwmy to raz na zawsze. Odkąd pocałowałem cię po raz pierwszy, wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni, ale zauważyłem też, że się boisz. Potrzebowałem czegoś, co by wyzwoliło twoje uczucia, postanowiłem więc dołożyć szczyptę zazdrości. To zawsze działa. Właśnie dlatego zabrałem Rinę na Bermudy, choć nasza historia była już w fazie schyłkowej. Chciałem cię zdenewrować, sprawić, żebyś myślała o mnie tak, jak ja myślałem o tobie - bez przerwy. Przy tym pierwsza próba się nie powiodła...

- Pierwsza próba?

- No tak, wtedy, kiedy namówiłem Charlesa, żeby pozwolił mi cię zawieźć do Sheringham Court. Miałem nadzieję, że w cztery oczy uda mi się naruszyć twój mur obronny, ale ty jak tchórz ukryłaś się za Jeremym, a potem na dodatek spadłaś ze schodów. Kiedy cię pocałowałem tamtego wieczoru, naprawdę chciałem cię tylko pocieszyć, ale odpowiedziałaś mi tak, że straciłem panowanie nad sobą. Wystraszyłaś się i moich, i swoich reakcji, i uciekłaś do Piersa. No więc postanowiłem zabrać Rinę na Bermudy, gdzie, jak wiedziałem, była też Paula, i włączyć do gry także i ją. Byłem zdesperowany, ale gdy zobaczyłem cię u Corinne, zżerały mnie wyrzuty sumienia, choć widziałem, że dopiąłem swego. Byłaś napięta jak postronek. No, ale czy mogłem stać z boku i patrzeć, jak kopiesz własny grób, a Piers myśli, że to grządką na kwiatki?

- Powiedziałaś też Jeremy'emu o tym grobie, prawda?

Uśmiechnął się.

- Prawda.

- Liczyłeś, że mi powtórzy?

- Miałem taką nadzieję. Powiedziałem ci, byłem zdesperowany.

- Cóż, twoja strategia zaowocowała. Byłam chora z zazdrości, choć myślałam, że sprawdzasz w ten sposób moje uczucia wobec Piersa.

- Wobec Piersa! Kochanie, zawsze byłaś dla niego za dobra. Za to dla mnie jesteś wręcz idealna. To przez ciebie mordowałem się w towarzystwie panienki, która była mną już znudzona i roztaczała swoje wdzięki gdzie indziej.

- Wiesz, co na mnie naprawdę podziało? Twoja odpowiedź: a dlaczego nie? Kiedy zmusiłam się, żeby to przemyśleć, zrozumiałam, że ukrywając prawdę, skrzywdzę Piersa jeszcze bardziej. Kiedy już mu powiedziałam, a wierz mi, nie było łatwo zadać mu ten cios - wiedziałam, że postąpiłam słusznie. Czułam się tak, jakby kamień młyński spadł mi z serca. Ale następnego ranka dowiedziałam się o mamie...

- Moje biedne maleństwo. - Przytulił ją mocniej.

- Zawsze chciała dla mnie jak najlepiej.

Długą chwilę milczał. Lista emocjonalnych nadużyć, jakich dopuszczono się wobec Harriet, wiele mu wyjaśniła, ale i napełniła zgrozą. Wreszcie powiedział w zamyśleniu:

- Zdaje się, że to Philip Larkin napisał: „Czasami nie wystarcza życia, aby pozbyć się zbędnego bagażu, który uniemożliwia wejście na szczyt”. Tobie się udało.

- Dzięki tobie.

Coś w jej tonie sprawiło, że westchnął komicznie.

- No, dalej, kpj z faceta, który cytuje poezję.

- A dlaczego nie? Ty potrafiisz wszystko.

- Boże, co za zaufanie! Czym sobie na nie zasłużyłem? - Jego ton był lekki, ale oczy świadczyły, ile dla niego znaczą te słowa.

- Zresztą twoja umiejętność deklamacji przyda się, zwłaszcza w nudne zimowe wieczory - spojrzała na niego

figlarnie.

- Nasze wieczory, Harriet, nigdy nie będą nudne, bez względu na porę roku. Uprzedzam, że nie jestem potulnym barankiem, jak Piers, i na pewno nie raz będziemy się kłócić, aż polecą wióry. Zwłaszcza na temat „Harriet Designs”. No, ale to nam przynajmniej dostarczy adrenaliny! Nawet nie wiesz, jak mi brakowało naszych słownych potyczek.

- Tobie! - wykrzyknęła. - Więc naprawdę nie chciałeś mnie wykupić? - spytała po chwili.
- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Teraz całkiem poważnie rozważam rolę współnika. Co ty na to?
- Wariat - powiedziała Harriet słabo.
- No wiesz! Myślałem, że lubiłaś ze mną pracować!
- Jeszcze jak!
- Ale pod warunkiem, że weźmiesz rozwód z drugą Harriet. Nie zgodzę się na bigamię.
- Już wszczęłam postępowanie rozwodowe.
- Niezła z ciebie projektantka, Harriet. I to nie tylko wewnątrz.
- Wobec ciebie też od początku miałam projekty, tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy.
- Wiem.
- Jakim cudem rozgryzłeś mnie tak szybko?
- Mówiłem ci, mam tyle doświadczenia z kobietami, że rozpoznaję złoto od razu... - Pocałował ją ponownie. - Więc postanowiłem cię zdobyć. Jak myślisz, dobrze się spisałem?
- Nic nie myślę... Przy tobie jakoś tracę jasność myśli.
- To tak jak ja przy tobie. Zamiast myśleć, mam chęć raczej... - pochylił się, żeby jej to zademonstrować. Oderwała się od niego, by zaczerpnąć tchu, i szepnęła:
- Pamiętaj tylko, że moja nowa osobowość musi się jeszcze dotrzeć. A ty masz niezły przebieg. Podzielisz się ze mną troszkę swoim doświadczeniem, prawda?
- Błysnął niebieskimi oczami.
- Troszkę? Skarbie, nie wiedziałem, że do tego stopnia mnie nie doceniasz. - Znowu pochylił się nad nią. - Czas na pierwszą lekcję..